

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Eileen Ryan uznała za konieczne sprzeciwić się babci, chociaż w głębi ducha wiedziała, że i tak w końcu pewnie jej ustąpi. Babunia, Margaret Mary Ryan - dla przyjaciół Maggie - zawsze wychodziła zwycięsko z takich potyczek, Eileen uznała jednak, że nie można poddać się bez walki.

- Babciu, dawno zmieniłam zawód. Nie jestem sekretarką.

Promienie słońca rozświetlały przytulny salonik. Nie wielki dom przy plaży, który Maggie Ryan przez ponad czterdzieści lat nazywała swoim gniazdkiem, wypełniały bliskie sercu pamiątki, lecz wewnątrz nie było zagracone i wszędzie panował idealny porządek. Babcia Eileen wygrzewała się na słońcu, które rozświetlało starannie ułożone siwe włosy. Włożyła dziś jasną sukienkę koloru brzoskwini, cieliste pończochy i wygodne czarne pantofle. Na twarzy mocno naznaczonej zmarszczkami malował się poślizgiwy uśmiech, a dłonie spoczywały na przykrytych serwetkami podłokietnikach ulubionego fotela. Cechował ją spokój właściwy królowym; między innymi dlatego

zawsze stawiała na swoim. W słownej szermierce nie miała sobie równych i na tym polu nikt jej dotąd nie pokonał.

- Ten zawód jest niczym jazda na rowerze - odparła.

- Tego się nie zapomina.

- Można, jeśli człowiekowi bardzo zależy - powiedziała Eileen, upierając się przy swoim.

Bóg jeden wie, jak bardzo starała się wyrzucić z pamięci wszystko, co dotyczyło nielubianej profesji. Trzy lata minęły, odkąd rzuciła biurową pracę, i w ogóle za nią nie tęskniła.

Od samego początku nie leżało jej to zajęcie. Przede wszystkim czuła się jak przykuta łańcuchem do biurka, a po drugie szefowie stale mieli ją na oku. Najgorsze jednak było ze wszech miar uzasadnione przekonanie, że jest od swoich przełożonych o wiele bystrzejsza. Mimo to traktowali ją niczym kretynekę. Po dziś dzień robiło jej się przykro, kiedy wspominała, jak się do niej odnosili, ale odsunęła niemiłe wspomnienie. Nie warto się nad sobą roztkliwiać. Joshua Payton, jej ostatni szef, udawał zakochanego. Zarzekał się, że nie potrafi bez niej żyć, ale zmienił zdanie po spektakularnym awansie, który umożliwił mu szybką wspinaczkę na sam szczyt. Gdy wyczuł, na co się zanoszą, natychmiast uznał, że prosta sekretarka nie jest dla niego dość dobra.

Nie ma mowy, żebym naraziła się znowu na podobne upokorzenia, pomyślała Eileen. Uciekła z sekretariatu raz na zawsze i nie zamierzała tam wracać nawet wtedy, jeśli w grę wchodziło krótkie zastępstwo.

- Brednie.
- Proszę? - spytała, wybuchając śmiechem.
- Przecież nie żądam, abys latami tyrała do upadłego w jakieś zabitej dechami prowincjonalnej dziurze.
- Niewielka różnica.
- Proszę tylko, żebyś przez dwa tygodnie popracowała u Ricka. Jego sekretarka poszła na urlop macierzyński, więc...

- Nie ma mowy, babciu - odparła, kręcąc głową i cofając się o krok, jakby chciała podkreślić swoją niezależność. Praca w sekretariacie oznaczałaby regres - powrót do przeszłości, którą Eileen wspominała bez entuzjazmu.

Maggie przyjęła jej słowa z kamienną twarzą. Zielonymi oczyma o szmaragdowym odcieniu przyglądała się wnuczce i czekała cierpliwie.

Opór Eileen słabł. Jak zwykle nie była w stanie przez dłuższy czas znieść tej milczącej presji.

- Daj spokój, babciu. Przecież mam urlop.
- Został odwołany.

Maggie miała rację. Planowała wakacje z przyjaciółką. Miały wyjechać razem na dwa tygodnie do Meksyku, ale Tina niespodziewanie zmieniła plany i zdecydowała się na romantyczny wypad z długoletnim ukochanym. Eileen dowiedziała się o tym, gdy przesłuchiwała wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce. Miała rezerwację i wszelkie potrzebne dokumenty, ale nie chciało jej się plażować w pojedynkę.

Była rozdrażniona, bo poświęciła mnóstwo czasu

i energii, żeby pod jej nieobecność ukochana kwiaciarnia dobrze prosperowała. Ustaliła z podwładnymi szczegółowy harmonogram prac, przeszkoliła swoją zastępczynię i załatwiła wszystkie zaległe sprawy, żeby przez dwa tygodnie bez wyrzutów sumienia cieszyć się należnym odpoczynkiem. Początek października to dla kwiaciarzy spokojniejszy czas, lecz z końcem miesiąca zaczynał się jesienno-zimowy sezon, a z nim świąteczna gorączka. Dopiero po walentynkach będzie można odpocząć.

Eileen coraz bardziej się denerwowała. Z przejęcia cała była obolała. Czuła, że traci panowanie nad sytuacją.

- Odwołałam wyjazd, nie urlop. Przede mną dwa tygodnie wolnego.

- I totalne nieróbstwo. Zanudzisz się na śmierć.

Święte słowa! Babcia znała ją na wylot. To prawda, że beczynność zwykle doprowadzała aktywną i pracowitą Eileen do szału, ale wszystkiego trzeba w życiu spróbować. Może w końcu polubi słodkie nieróbstwo?

- Wykluczone, dziecinko. To nie dla ciebie. Od dzieciństwa nie potrafiłaś usiedzieć beczynnie. Nieustannie szukałaś sobie zajęcia.

- Chyba nadszedł czas, żeby trochę zwolnić - powiedziała Eileen, chodząc po pokoju. - Będę czytać i chodzić do kina albo posiedzę na plaży, obserwując fale.

Maggie lekceważąco machnęła ręką.

- Po dwudziestu czterech godzinach tego rodzaju atrakcji będziesz miała dosyć.

Mimo trudności Eileen próbowała przeciągnąć babcię

na swoją stronę i uświadomić jej, że z pozoru drobna przy-  
sługa wiąże się z licznymi przykrościami.

- Rick Hawkins to kawał drania. Doskonale o tym wiesz.

- Mówisz tak, bo droczył się z tobą, kiedy byłaś małą.  
Eileen z ponurą miną pokiwała głową.

- To za mało powiedziane, Ilekroć przychodził po Bri-  
die, bo mieli randkę, najzwyczajniej pastwił się nade mną.  
Doprowadzał mnie do szału.

- Byłaś małą, Rick chodził z twoją starszą siostrą.  
Przekomarzał się z tobą niejako... z obowiązku. Tak jest  
kolej rzeczy.

- Aha.

- Jego babcia jest moją długoletnią serdeczną przyja-  
ciółką. - Maggie zmrużyła bystre zielone oczy.

- Świetnie - przerwała natychmiast. - Jej chętnie po-  
mogę.

- Niezła wymówka, ale Loretta, w przeciwieństwie do  
swego wnuka, nie potrzebuje sekretarki.

- Czym on się zajmuje? - Eileen opadła na krzesło  
obok fotela babci. - Traktował mnie kiedyś wyjątkowo  
podle, więc na tej podstawie domyślałam się, że nadal drę-  
czy ludzi. Stoi na czele mafii?

- Został doradcą finansowym - wyjaśniła Maggie,  
wsuwając za ucho niesforny loczek. - Loretta mówi, że  
jest świetny w swojej branży.

Jej słowa nie zrobiły na Eileen większego wrażenia.

- To jego babcia. Nieszczęsna kobieta, zwodzona  
przez wnuka.

- Eileen...
- No dobrze, facet ma kasę. Ile żon zaliczył? Obecna jest piąta?
- Ciekawość nie daje ci spokoju, prawda?
- Popolita słabość nie do opanowania.  
Kąciki ust Maggie uniosły się lekko.
- Był żonaty raz, ale się rozwiódł. Nie ma dzieci. Trafiła mu się herod-baba.
- A jej męska szowinistyczna świnia - odparła ironicznie Eileen.

Trochę współczuła facetowi, którego nie widziała od lat, ale nie chciała się do tego przyznać. Zdawała sobie sprawę, że rozwód to zawsze koszmar, mimo że sama nie miała takich doświadczeń. Żeby się rozwieść, trzeba najpierw wyjść za mąż, a jedyne zaręczyny Eileen szczęśliwym trafem nie doprowadziły do ślubu.

- Szczerze mówiąc, niepotrzebnie robisz z niego potwora - odparła Maggie.
- Naprawdę...
- Rick jest wnukiem mojej najlepszej przyjaciółki - przerwała karcącym tonem starsza pani.

Pułapka z wolna się zamykała. Eileen niemal czuła wokół siebie zimne, mocne pręty, lecz nie dawała za wygraną.

- Sama wiesz, że Rick nigdy nie darzył mnie sympatią.
- Głupstwa mówisz.
- Sądzę, że raczej nie zechce przyjąć mojej pomocy.
- Byłby ci bardzo wdzięczny. Wiem to od Loretty.
- Już z nim rozmawiała? - Zdumiona Eileen szeroko

otworzyła oczy, które zrobiły się wielkie jak spodki. I pomyśleć, że według teologów człowiek ma podobno wolną wolę. Pomarzyć dobra rzecz!

- Takie sprawy trzeba najpierw dokładnie omówić, zanim się przystąpi do działania, prawda?

- Aha, najlepiej beze mnie, co? Zaproponowałaś, że pomogę Rickowi, ale nie przyszło ci do głowy, aby to wcześniej ze mną skonsultować. Chyba jednak powinnam się wypowiedzieć w tej kwestii.

Łudziła się, że są z babunią w dobrej komitywie. No i proszę, miła starsza pani okazała się egoistką oraz cwana intrygantką.

- Masz dobre serce, dziecinko. Nie zostawisz bez pomocy człowieka będącego w potrzebie. Sądziłam, że spodobą ci się nasz plan.

- Rick Hawkins - mruknęła Eileen, bezradnie kręcąc głową.

Nie widziała go od sześciu lat; po raz ostatni spotkali się, gdy przyjechał na pogrzeb jej dziadka. Sześć lat to kawał czasu. Wcale się nie martwiła z tego powodu. Jedno spojrzenie na faceta w garniturze nie zatarło dawnych wspomnień. Zapamiętała Ricka jako bezwzględного okrutnika znęcającego się nad jedenastolatką, która troszkę się w nim podkochiwała. A teraz miałyby u niego pracować? Nie ma mowy! Nigdy w życiu! Wykluczone!

- Nie zgadzam się.

Maggie Ryan oparła przedramiona na podłokietnikach fotela i ułożyła dłonie tak, że palce tworzyły idealny trój-

ką. Przechyliła głowę na bok, popatrzyła na wnuczkę i powiedziała cicho:

- Kiedy miałaś dziesięć lat, stłukłaś chińską filiżankę prababci O'Hary.

- O Boże! - jęknęła Eileen. Uciekaj, nakazała sobie w duchu, zmykaj stąd, gdzie pieprz rośnie.

- O ile sobie dobrze przypominam, z własnej woli powiedziałaś wtedy, że zrobisz wszystko, byle mi wynagrodzić tę ogromną stratę. Cytuję twoje słowa.

- Miałam wtedy dziesięć lat - zachnęła się Eileen, desperacko szukając wymówki. - Minęło siedemnaście lat!

Maggie z teatralnym westchnieniem położyła rękę na sercu, jakby poczuła się zraniona uwagą wnuczki.

- Ach tak! Mam rozumieć, że obietnice złożone w tym domu z czasem ulegają przedawnieniu?

- Nie, ale... - W pułapce robiło się coraz ciasniej. Eileen brakowało powietrza.

- To była ostatnia filiżanka z wyprawy, którą moja babcia przywiozła ze sobą ze starego kraju - ciągnęła Maggie.

- Babuniu... - Eileen skrzywiła twarz, ogarnięta znajomym poczuciem winy. Nie było wyjścia z tej pułapki. Maggie Ryan po mistrzowsku grała najej uczuciach.

- Dostała ten serwis w prezencie ślubnym od swojej babki - dodała z naciskiem starsza pani. - Porcelana w najlepszym gatunku. Bezcenna pamiątka z rodzinnych stron. Wspianiały podarunek ofiarowany ze świadomością, że kolejnego spotkania zapewne nie będzie.



Była tylko nie wspomniała o sterówce, pomyślała z rozpaczą Eileen. Tego nie zniosę!

- Moja babcia starała się bardzo, żeby serwis bezpiecznie przetrwał długą podróż. Wiesz, że ubłagała kapitana, aby pozwolił jej wstawić skrzynię z porcelaną do sterówki, i...

Trafiona, zatopiona!

- Poddaję się! - zawołała Eileen, podnosząc ręce do góry. Nie miała najmniejszej ochoty pracować u Ricka, ale wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. Była świadoma, że wpadła w sprytnie zastawioną pułapkę. - Zgoda. Wezmę zastępstwo, ale tylko na dwa tygodnie. Ani dnia dłużej.

- Cudownie, dziecko. - Maggie Ryan sięgnęła po filiżankę ozdobioną nikłym szlaczkiem z listków koniczyny. - Bądź w biurze Ricka jutro o ósmej. Zawiadomię go, że przyjedziesz.

- Od początku wiedziałas, że się zgodzę, prawda?

Maggie Ryan uśmiechnęła się tylko.

- Powinieneś wiedzieć, że jeszcze ci nie wybaczyłam tamtej afery z lalką Barbie.

Rick Hawkins popatrzył na wysoką, elegancko ubraną, rudowłosą dziewczynę, która przed chwilą weszła do jego biura. Twarz miała zaszępioną, ale ponura mina jej nie szpeciła. Oczy były zmrużone, lecz dostrzegł ich głębię, blask i piękny kolor. Zauważył od razu duże, pięknie wykrojone usta i ładne brwi. Rudozłote włosy lśniącymi falami opadały na ramiona.

Eileen włożyła dziś elegancką białą bluzkę i szerokie czarne spodnie oraz lśniące ciemne buty, których czubki wystawały spod mankietów. W uszach miała małe srebrne kółka, a na przegubie lewej ręki prosty zegarek ze srebrną bransoletką. Żadnych pierścionków, paznokcie pomalowane bezbarwnym lakierem. Sprawiała wrażenie rzeczowej i godnej zaufania. Budziła szacunek. Wyglądała świetnie, po prostu rewelacyjnie. Rick uznał, że nie powinien słuchać babci. Czekwały go długie i wyczerpujące dwa tygodnie.

- Miałaś wtedy jedenaście lat - przypomniał w końcu.
- A ty prawie szesnaście - odparła.
- Byłaś jak zaraza. - Kiedy teraz na nią patrzył, z trudem wierzył, że dawniej samą swoją obecnością działała mu na nerwy i zatruchiwała życie.

Trochę go niepokoiły te spostrzeżenia. Raz dał się oamnić urokowi ślicznej buzi. Zaufał tamtej piękności, uwierzył jej. Niestety, odeszła. Jak wszystkie kobiety Uczące się w jego życiu... z wyjątkiem babci, która wychowała go, kiedy matka uznała, że najbardziej ceni sobie poczucie swobody i nie ma ochoty marnować czasu na piastowanie bachora.

Eileen kiwnęła głową, uznając jego punkt widzenia.

- Słuszna uwaga, ale nie musiałeś z tego powodu obcinać głowy mojej Barbie.
- Zapewne, lecz po tamtym incydencie zostawiłaś mnie w spokoju. - Uśmiechnął się z roztargnieniem, wspominając młodsze lata.

- Jasne. - Zniecierpliwiona spłótła ramiona na piersi, tupiąc stopą o szaroniebieski dywan. - To jawna oznaka, że posiadasz mordercze skłonności.

- Wybacz, że dotąd ich nie ujawniłem. Wyszłoby na twoje. Jak widzisz, mimo wszystko nie wyrosłem na seryjnego mordercę. Jestem zwykłym człowiekiem interesu.

- Żadna różnica. - Eileen wzruszyła ramionami.

Równie zadziorna jak w dzieciństwie, pomyślał Rick, kiwając głową. Zawsze gotowa spierać się i bronić swego zdania. Zapewne przez te włosy. Wszystkie rude mają ogromny temperament. Pozostała kobietą z charakterem, więc może jednak uda się im jakoś dogadać. Przynajmniej nie będzie nudno. Wolał awanturnice niż intrygantki.

- Mam rozumieć, że przez dwa tygodnie będziemy toczyć w tym biurze prywatną wojnę? Jeśli tak...

- Nie - przerwała, rzucając czarną torebkę na biurko, które przez czternaście dni miało należeć do niej. - Trochę ci dokuczam, ale bez złej woli. Spokojnie, jeszcze nie podpadłeś.

- Jestem ci z tego powodu dozgonnie wdzięczny - odparł ironicznie.

- Bardzo mądrze z twojej strony.

- Zawrzyjmy pokój, zgoda? Naprawdę ulżyło mi, kiedy usłyszałem, że zgodziłaś się tu popracować.

Mówił szczerze. Nie potrafił obejść się bez sekretarki, z drugiej strony jednak obawiał się, że w obecności Eileen trudno mu będzie skupić się na pracy.

- No proszę! - Uśmiechnięta Eileen uniosła brwi. -

Rzeczywiście zmieniłeś się na lepsze. Ani razu nie nazwałś mnie Tyczką jak za dawnych lat.

- Zgadza się. - Obrzuciła ją bystrym spojrzeniem. Nie przypominała chudej, kościstej dziewczynki z długimi warkoczami oraz mnóstwem ran i zadrapań na kolanach, które nigdy się nie goiły. Ta urodziwa panna bardzo się różniła od natrętnego bachora przezywanego Tyczką. - Obiecuję używać wyłącznie twego imienia. Żadnych złosliwych przezwisk. Zresztą już do ciebie nie pasują.

Podziękowała skinieniem głowy. Rick odniósł wrażenie, że przynajmniej na pewien czas zawarli rozejm.

- Dawno się nie widzieliśmy - zagadnęła.

- Racja.

Od ich ostatniego spotkania minęło sześć lat. W dzieciństwie często widywał się z dziewczynkami Ryanów, ponieważ jego babcia była zaprzyjaźniona z Maggie. Kontakty urwały się, gdy skończył szkołę średnią, bo wtedy zerwał z Bridget, siostrą Eileen, i przestał się u nich pojawiać.

Pod jego nieobecność młodsza z panien Ryan wyrosła na śliczną dziewczynę, zmieniając się nie do poznania.

Niech to diabli! Trudna sprawa. Nie jest dobrze! Z tego mogą być tylko kłopoty.

- Co u twojej babci? - zapytał.

- Cwana i podstępna jak zawsze. Manipuluje ludźmi i każdego potrafi sobie owinać wokół palca - odparła Eileen z promiennym uśmiechem, który wprawił go w zakłopotanie. - Jestem tego najlepszym dowodem. Nikt po-

za babunią nie zdołałby mnie namówić, żebym w czasie przeznaczonym na urlop podjęła dodatkową pracę.

- Jest skuteczna.

- Bez wątpienia. - Eileen wsunęła kosmyki włosów za uszy. Rick przyglądał się srebrnym kolczykom lśniącym w promieniach słońca. - Babunia tęskni za tobą. Mógłbyś ją czasem odwiedzić.

- Obiecuję do niej zajrzeć - powiedział szczerze.

Maggie Ryan była dla niego jak rodzina. Zawsze uważała ją za drugą babcie. Wstyd mu się zrobiło, że tak długo ją zaniedbywał.

- A co u twojej babuni? - zapytała Eileen.

- Pojechała na Florydę - odparł z uśmiechem. - Ma nadzieję, że załapie się na lot wahadłowcem.

- Odkąd pamiętam, zawsze pociągały ją takie szalone eskapady. - Eileen stanęła bokiem do biurka i oparła się o nie biodrem.

Rick z uśmiechem kiwnął głową. Jego babcia zawsze szukała mocnych wrażeń i uwielbiała włóczyć się po świecie.

- W głębi ducha zawsze podejrzewałem, że przyszła na świat wśród Cyganów i w dzieciństwie została adoptowana przez normalną rodzinę, lecz mimo to pociąg do wędrowania nadal ma we krwi.

Eileen wzruszyła ramionami i odgarnęła do tyłu śliczne, bujne włosy, które lśniły złościście w promieniach słońca.

- A co twoim zdaniem jest normalne? - spytała zaczepnie.

- Nie mam pojęcia - wyznał szczerze. Kiedyś wyda-

wało mu się, że wie. Normalność stanowiła przeciwieństwo jego życia: zwyczajna rodzina złożona z mamy, taty oraz dzieci, dom otoczony białym płotkiem, duże, łagodne psisko, z którym można się bawić, wspólne marzenia i plany. Na to wszystko pracował latami w nadziei, że wreszcie osiągnie upragnioną małą stabilizację. Teraz nie był już taki pewny, czy naprawdę wie, do czego dąży.

Uznał, że niektórym ludziom taka normalność po prostu nie jest pisana. Już się pogodził, że sam również należy do owych pechowców, choć dawniej za wszelką cenę próbował wdrzeć się do świata zwyczajnych ludzi wiodących normalne życie. Znalazł żonę, która wydawała się odwzajemniać jego uczucia. Był przekonany, że się kochają. Nim łuski spadły mu z oczu, zostawiła go i odeszła, zabierając połowę majątku.

Pozbawiła go przy okazji wiary w ludzi.

- Bierzmy się do pracy. - Głos Eileen przerwał mu na szczęście te ponure rozmyślenia. - Proszę o instrukcje. Co mam robić?

- Jasne. - Przyznał w duchu, że to dobry pomysł. Lepiej trzymać się konkretów, zamiast bujać w obłokach i dzielić włos na czworo. I cóż, że ich rodziny od lat się przyjaźnią? W pracy takie sprawy nie mają znaczenia. Każdy powinien zajmować się tym, co do niego należy. Tak będzie najlepiej, pomyślał, zerkając na Eileen. Mimo dobrych intencji natychmiast zrobiło mu się gorąco. Naprawdę czekały go dwa długie i męczące tygodnie.

- Przede wszystkim chciałbym, żebyś odbierała tele-

fony, robiła notatki i zapisywała wiadomości. Zależy mi również na przepisywaniu rozmaitych dokumentów i sprawozdań.

- Krótko mówiąc, dopóki nie znajdziesz kogoś na stałe, mam pilnować, żeby zapanował tu spokój i porządek.

- Dobrze to ujęłaś - przyznał, odsuwając poły rozpiętej granatowej marynarki. Wsunął ręce w kieszenie. - Margo była zmuszona zacząć urlop macierzyński wcześniej, niż planowała, a firma szukająca dla mnie sekretarki przyśle kogoś na zastępstwo najwcześniej za dwa tygodnie. Do tego czasu muszę sobie jakoś radzić.

- Aha... - mruknęła z roztargnieniem.

Obserwowała Ricka ukradkiem. Była trochę zbita z tropu, bo nie oczekiwała, że jej tymczasowy szef okaże się takim interesującym mężczyzną. W czasie przelotnego spotkania sprzed sześciu lat nie przyjrzała mu się uważnie, bo nie miała do tego głowy. Atmosfera pogrzebu nie sprzyja odnawianiu dawnych znajomości. Kiedy tu weszła, mimo upływu lat nadal miała w pamięci obraz wysokiego szesnastolatka, chudego szatyna z niesforną czupryną i skrzywionym uśmiechem. Kolor włosów i zabawne miny pozostały takie same, ale zniknęło przesadne wychudzenie. Rick miał teraz doskonałą sylwetkę. Zapewne bywał w siłowni częstym gościem.

Głos też mu się zmienił. Był głęboki, czarujący, aksamiorny. Nic dziwnego, że słuchając go, czuła się nieco rozmarzona. Nawet bardzo. Dopóki nie usłyszała niebezpiecznego określenia: najwcześniej za dwa tygodnie.

- Proszę? - spytała. - Jak to najwcześniej za dwa tygodnie? Rick, mogę tu zostać najwyżej czternaście dni. Potem wsiałam do złotej karety i odjeżdżam do Krainy Marzeń.

- Dokąd?

- Do Krainy Marzeń. Tak się nazywa moja firma. - Sklep był jej radością i dumą. Od miesięcy pracowała w pocie czoła, żeby do czegoś dojść.

- Jasne. Babcia wspomniała mi, że pracujesz w kwiatarni.

- Rozmawiasz z właścicielką - poprawiła z naciśnięciem. - Sklep jest niewielki, ale z charakterem. Specjalizujemy się w kompozycjach kwiatowych. - Sięgnęła po torebkę, pogrzebała w niej i wyjęła mosiężny wizytownik.

Podowała Rickowi gruby, zadrukowany kartonik, błękitny jak kwiaty lnu, z efektownym, ozdobnym liternictwem. Po lewej stronie wiła się kwiatowa girlanda otaczająca napis: „Kraina Marzeń”. Na dole nie rzucający się w oczy numer telefonu oraz imię i nazwisko właścicielki.

- Bardzo ładna wizytówka - pochwalił Rick, odruchowo chowając kartonik do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Dzięki. Bukieciarstwo na najwyższym poziomie. Polecam nasze usługi i czekam na zlecenie.

- Na pewno się odezwę.

Oboje zamilkli. Cisza przedłużała się, a w sekretariacie było jakby cieplej i trochę duszno. Zdawali sobie sprawę, że iskrzy między nimi. Rick był zdecydowany położyć temu kres. Do tej pory starannie unikał biurowych romanсів i teraz nie zamierzał tego zmieniać, zwłaszcza że



gdyby Eileen doniosła na niego rodzinie, musiałyby się tłumaczyć przed dwiema babciami.

- No dobrze - powiedział trochę za głośno. - Dwa tygodnie wystarczą. Jestem pewny, że firma rekrutująca pracowników zdoła w tym czasie załatwić mi długotrwałe zastępstwo.

- Powinieneś spróbować w kilku firmach. Nie należy ograniczać się do jednej.

Rick energicznie pokręcił głową.

- Już próbowałem. Ta się sprawdziła. Inne nie stają na wysokości zadania. Wolę poczekać, niż mieć do czynienia z nieudacznikami.

- Dlaczego nie zarezerwowałeś sobie kogoś, nim Margo poszła na urlop macierzyński?

- Dobre pytanie - mruknął ponuro. - Powiniennem był tak zrobić, ale chciałem uporać się z najważniejszymi sprawami. Zresztą w ostatnim miesiącu ciąży Margo nie była sobą. Myliła się, wszystko leciało jej z rąk. Wszystko szło jak po grudzie.

- Pozwolę sobie zauważyć, że miała na głowie ważniejsze sprawy.

- Zapewne. Oby tylko jak najszybciej wróciła do pracy.

- To smutne - odparła Eileen.

- Dlaczego? - spytał zbity z tropu.

- Gdybym miała dziecko, wolałabym zostać w domu i sama zajmować się maleństwem. - Eileen znów położyła torebkę na biurku i usiadła w granatowym fotelu. - Oczywiście wiem, że sytuacja życiowa zmusza wiele kobiet,

żeby szybko wracały do pracy, ale gdybym nie musiała tego robić...

- Margo to istny gejzer energii. Dostałaby szału, gdyby musiała siedzieć w domu i próżnować - zaprotestował, wspominając swoją sekretarkę, która nie potrafiła siedzieć beczynn timer.

- Dzieci są niesłychanie absorbujące.

Rick wzdrygnął się na myśl, że Margo zechce realizować się jako mama, zamiast pracować dla niego.

- Nie mów takich rzeczy! - jęknął z przerażeniem. - Margo musi wrócić do biura. Dzięki niej wszystko tu funkcjonuje jak należy.

- Zapewne tak będzie. - Eileen zajrzała do szuflady, starając się od razu zapamiętać, gdzie co leży. - Chciałam tylko powiedzieć...

- Daruj sobie takie uwagi - przerwał szorstko. - Żebyś tylko nie wykrakała!

- Nadzwyczaj dojrzała postawa - mruknęła ironicznie.

Zamknęła pierwszą szufladę, zajrzała do następnej i szybko przebiegła wzrokiem zawartość. Wśród papierów i pudełek była również zapomniana przez Margo torebka czekoladowych cukierków. Eileen wyjęła jeden, odwinęła ze srebrnej folii i wrzuciła do ust.

- Mamy ekspres do kawy?

- Tam stoi. - Wskazał ręką, odwracając głowę, żeby nie widzieć, jak zlizuje z warg ostatnią drobinę czekolady.

- Dzięki Bogu - mruknęła, znowu wstała i podeszła do niskiej dębowej szafki. Obejrzała się przez ramię i po-

patrzyła znacząco na Ricka. - To mój pierwszy dzień w biurze, więc ty również dostaniesz kawę. W drodze wyjątku. Od jutra sam się musisz obsługiwać. Nie jestem kelnerką, tylko sekretarką. Tymczasowo.

Jasne, że tymczasowo. W jego życiu to normalka. Kiwnął głową na znak, że rozumie, i ukradkiem zmierzył ją taksującym spojrzeniem. Idąc, fantastycznie kołysała biodrami. To dość, żeby facetowi podniosła się temperatura. Na szczęście za dwa tygodnie będzie po wszystkim. Kurczę, tymczasowość ma jednak swoje dobre strony. Wszystko przemija, zwłaszcza w jego życiu. Przynajmniej teraz sytuacja jest zupełnie jasna, od początku do końca.

To by nam tylko skomplikowało życie, pomyślał, zastanawiając się jednocześnie, w jaki sposób, do jasnej cholery, ma przetrwać czternaście dni z Eileen, zachowując względną przytomność umysłu.

Po trzech dniach Eileen mogła znów jednym tchem wyliczyć z pamięci wszystkie przyczyny, które skłoniły ją do zmiany zawodu. Kwiaty nie są przesadnie absorbujące, nie zasypują pytaniami, nie żądają natychmiastowych odpowiedzi, a poza tym są piękne, lecz nie powodują, że na ich widok robi się człowiekowi gorąco.

Zgoda, ten ostatni powód miał niewielkie znaczenie, gdy postanowiła raz na zawsze porzucić sekretarskie biurko, ale teraz wizja męskiej sylwetki w trzyczęściowym garniturze odbierała jej spokój i stanowiła najpoważniejszy argument utwierdzający ją w powziętej decyzji.

Praca nie była trudna. Okazała się nawet dosyć ciekawa, chociaż Eileen za nic w świecie nie przyznałaby tego w rozmowie z Rickiem. Poza tym przez ostatnie dwa lata chodziła do kwiaciarni w dżinsach i najróżniejszych koszulkach, a teraz jako tymczasowa asystentka z konieczności musiała się elegancko ubierać. Doszła do wniosku, że to przyjemna odmiana. Na szczęście nie pozbyła się noszonych dawniej rzeczy. Spodnie, spódnice, cieliste rajstopy i wygodne pantofle na obcasach były jak znalazł. Malowała się rano i układała włosy. Do niedawna wystarczyło związać je w koński ogon i szybko pomalować usta ochronną kredką. Z drugiej strony żadna z owych zalet tymczasowej posady nie rekompensowała konieczności nieustannego przyglądania się Rickowi.

To prawda, że jako nieletnia smarkuła Eileen trochę się w nim podkochiwała, rzecz jasną do momentu, gdy stał się katem nieszczęsnej Barbie. On i Bridie, siostra Eileen, zgodnie ignorowali małą, gdy byli zmuszeni przesiadywać w jej towarzystwie. Ilekroć Rick raczył ją wreszcie zauważyć, docinkom i kpinom nie było końca. Droczył się z nią tak długo, aż miała ochotę stłuc go na kwaśnejabłko.

Ale teraz... Odwróciła głowę i przez uchylone drzwi zerknęła do jego gabinetu. Siedział przy biurku, krawat miał rozluźniony, a brązowe włosy zmierzwione od nerwowego przeczesywania palcami. Wyglądał... No właśnie. Jak wyglądał?

Apetycznie. To dobre określenie.

Eileen nie miała ochoty komplikować sobie życia. Tego

rodzaju atrakcje nie były jej teraz potrzebne. Dlaczego miałyby zawracać sobie głowę Rickiem Hawkinsem? Nie ma żadnego powodu, żeby się nim interesowała. Po pierwsze, za dwa tygodnie ich drogi się rozejdą. Wiedziała, że wróci do swojego świata i zapewne niewiele będzie miała okazji do kolejnych spotkań. Poza tym... zupełnie nie był w jej typie. Lubiła nawiedzonych intelektualistów o artystycznej duszy i pogodnym usposobieniu, którzy chętnie przesiadują na plaży, oglądając zachód słońca. Powinni być opaleni i na luzie, a do obowiązków podchodzić bez fanatyzmu, na zasadzie: nie zajmuj się dzisiaj tym, co równie dobrze możesz zrobić jutro. Tacy faceci nie stanowili dla niej zagrożenia. Wiedziała, że znajomość z nimi do niczego nie prowadzi. Nie myśleli o przyszłości. Liczyła się dla nich następna godzina... albo najbliższe honorarium. Portfele nie były im potrzebne, bo pieniądze nosili w kieszeni. Jakoś to będzie, mawiali, nade wszystko ceniąc swobodę i luz.

Eileen nie mogła zrozumieć, co jej odbiło. Skąd to niespodziewane zainteresowanie finansistą ze świata biznesu?

## ROZDZIAŁ DRUGI

Rick usiadł wygodnie w swoim fotelu i przyglądał się stojącej na progu Eileen. Po trzech dniach sytuacja się ustabilizowała. Jako sekretarka Eileen była prawdziwym ideałem: sprawna, inteligentna, doskonale zorganizowana. Wobec szefa zachowywała stosowny dystans. Rozum nakazywał to docenić.

Niestety, Rick okazał się zupełnie głuchy na głos rozsądku i w głębi ducha miał jej to za złe.

Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu bardzo interesował się Eileen, która pociągała go z nieodpartą siłą. Kiedy babcia zaproponowała, żeby zatrudnił ją na zastępstwo jako sekretarkę, był mocno zaskoczony. W jego wyobrażeniach pozostała złośliwą smarkulą. Trudno mu było pozbyć się dawnych uprzedzeń i przyjąć do wiadomości, że dorosła, zdobyła dobry zawód, który wykonuje bez zarzutu. Mimo wątpliwości uległ namowom, ponieważ był w sytuacji bez wyjścia. Odkąd Eileen pojawiła się w jego biurze, myślał o niej bez przerwy i nie potrafił się na niczym skupić.

To pewnie zły znak.

- Cześć, Ziemia do Ricka. Odbiór - zagadnęła żartobliwie.

Zamrugął, jakby budził się z transu.

- Co jest?

- Sama chętnie bym się dowiedziała. Prosiłeś, żebym przyszła do twojego gabinetu, nie pamiętasz?

Nadal stała w drzwiach, patrząc na niego tak, jakby stracił rozum. Do diabła, chyba miała rację.

Zerwał się z fotela. Na stojąco zawsze lepiej mu się myślało.

- Tak. Rzeczywiście. Chciałbym, żebyś dzisiaj została trochę dłużej... - Przerwał, słysząc dzwonek telefonu.

- Nie zapomnij, o czym mówiłeś - mruknęła ironicznie, odwróciła się i podeszła do swego biurka.

Rick starał się odwrócić wzrok i nie patrzeć na jej rozkołysane biodra, co nie było łatwe.

Eileen odebrała po trzecim sygnale.

- Hawkins, doradztwo finansowe. Słucham - powiedziała do słuchawki, lekko pochylona nad biurkiem.

Rick obserwował ją, gdy sięgała po kartkę i długopis. Rąbek spódnicy kusząco uniósł się do góry, odsłaniając uda. Nie wolno patrzeć, nakazał sobie Rick, ale nie był w stanie odwrócić głowy. A właściwie dlaczego miałby się umartwiać? Był facetem. Mężczyźni to wrokowcy. Sama natura sprawiła, że lubią popatrzeć na ładne kobiety. Nie warto z nią walczyć. Uznał, że trochę się pogapi. Taka niewinna rozrywka. Komu to przeszkadza?

- Vanessa Taylor? - Eileen odwróciła się i spojrzała na niego pytająco.

Cholera jasna!

- Nie - rzucił bezgłośnie, poruszając tylko wargami i energicznie kręcąc głową.

Tylko tego mu właśnie teraz brakowało, żeby Vanessa przez kwadrans paplała o przyjęciach, na które postanowiła go rzucić, jakby nie zauważyła, że od wielu tygodni się do niej nie odzywał. Zakładała po prostu, że każdy mężczyzna, który stanie na jej drodze, natychmiast się zakocha i w imię tej miłości gotów jest do najwyższych poświęceń. W jego przypadku mocno się zawiodła, bo nie był skłonny do miłosnych wyznań, a co za tym idzie, nie miał również ochoty poświęcać się dla rzekomej ukochanej.

- Spław ją - dodał bezgłośnie.

Miał nadzieję, że Eileen potrafi czytać z ruchu warg. Czuł się jak cholerny mim. Nie śmiał nawet szeptać. Vanessa odznaczała się doskonałym słuchem. Namierzyłaby go bezbłędnie jak nietoperz. Gdyby nabrała pewności, że jest w biurze, z pewnością postawiłaby na swoim i skłoniłaby go do rozmowy, na którą absolutnie nie miał ochoty. Wprawdzie przez jakiś czas umawiał się z nią, lecz za każdym razem wymuszała na nim kolejną randkę.

- Cokolwiek? - upewniła się Eileen, poruszając tylko wargami. W jej oczach pojawił się przewrotny błysk. Gdy kiwnął głową, uśmiechnęła się chytrze i powiedziała: - Przykro mi, panno Taylor, ale Rick nie może teraz



podejść do telefonu. Zdaniem lekarzy będzie lepiej, jeśli do czasu zdjęcia szwów powstrzyma się od wszelkich rozmów.

Co takiego? Rick zrobił krok w jej stronę.

- Naprawdę? Nic pani o tym nie słyszała? Miał wypadek, na szczęście niezbyt groźny - tłumaczyła kłamliwie. Oczy jej się śmiały, a w głosie pobrzmiwało udawane współczucie. - Jest mocno zeszpecony, ale według chirurga to stan przejściowy. Za jakiś czas dojdzie do siebie. - Po chwili gwałtownym ruchem odsunęła telefoniczną słuchawkę i skrzywiła twarz. Osłupiały Rick spoglądał na nią ze zdumieniem. - Rzuciła słuchawką tak mocno, że od tego huku omal nie ogłuchłam.

- Zeszpecony? Zrobiłaś ze mnie brzydala? Czemu nagadałaś jej takich bzdur?

- Proszę? - Udawała, że nie słyszy. Przechyliła głowę, dotknęła ręką ucha i osłoniła je stuloną dłonią.

- Bardzo śmieszne, Ryan - mruknął, odsuwając poły marynarki. Włożył ręce w kieszenie i zaczął kiwać się do przodu i do tyłu. - Co to za kombinacje?

- Kazałeś mi się jej pozbyć. Dałeś mi wolną rękę.

- W granicach rozsądku.

Uniosła ramię i pogroziła mu palcem.

- No, no! O tym nie było mowy.

Skrzyżował ramiona na piersiach. Ta dziewczyna stale go zaskakiwała. Dlatego tak się nią interesował... co było dla niego powodem ogromnego niepokoju.

- Nie przypuszczałem, że trzeba ci przypominać, abyś

działała zgodnie ze zdrowym rozsądkiem. Następnym razem nie omieszkam zwrócić na to uwagi.

Eileen zachichotała.

- Przyznaj, że bawiła cię ta sytuacja - dodał karcącym tonem.

- Oczywiście - przyznała, siadając na skraju biurka. - A skoro już o tym rozmawiamy... Vanessa nie jest ci chyba szczególnie oddana. Wystarczyło, że wspomniałam o zeszpeceniu, i natychmiast przestała się tobą interesować. Niewiele trzeba, żeby ją spławić. - Ubawiona przyglądała mu się zmrużonymi oczyma. - Sprawia wrażenie dość płytkiej osóбки.

Rick uznał, że to najwłaściwsze określenie Vanessy oraz jej znajomych. I jemu wszyscy z tego towarzystwa wydawali się bardzo powierzchowni. Z drugiej strony jednak do tej pory nie szukał trwałych i głębokich związków. Potrzebował kobiety, z którą można pokazać się w restauracji i pójść do łóżka. Vanessa nie była miłym kompanem ani dobrą kochanką, lecz mało się tym przejmował.

- Często bywasz taka śmiała wobec szefów?

- To już nie jest mój problem. Teraz sama sobie szefuję - odparła, podchodząc bliżej.

- Mądre posunięcie.

- Jak mam to rozumieć?

- Trudno ci się dogadać z innymi ludźmi, prawda?

- Dlaczego tak uważasz? Przecież okazałam się skuteczna, a o to właśnie chodziło.

- Jasne. - Rick także zrobił krok w stronę Eileen. Poczuli jej zapach i wciągnął go głęboko w nozdrza.

- Nie muszę czekać na polecenia. Sama wiem, jak prowadzić sekretariat. Potrafię improwizować i świetnie radzę sobie w trudnych sytuacjach.

Rick z westchnieniem pomyślał, że jest równie drażliwy jak przed laty. Irlandzki temperament w każdej chwili groził wybuchem. Wystarczyło kilka nierozważnych słów i zaraz wszystko się w niej gotowało. Piękne oczy rozgorzały szmaragdowym ogniem. Kiedy w nie patrzył, czuł się jak zahipnotyzowany. Mieniły się jasną i ciemną zielenią, rzucały błyskawice. Rick był nimi urzeczoney.

- Ale to jest moje biuro - przypomniał, drocząc się z Eileen. Na policzki wystąpiły jej ciemne rumieńce. Oddech był przyspieszony. Sprawiała wrażenie, jakby lada chwila miała wybuchnąć gniewem. Nie mógł od niej oczu oderwać. Niedobrze, człowieku, pomyślał. Nigdy w życiu nie pragnął tak żadnej kobiety.

- Ależ tak! Jestem tego świadoma - odparła, robiąc następny krok w jego stronę i pochylając się dla podkreślenia swoich słów. - Wystarczy jeden rzut oka, aby pojąć, że pracuje tutaj okropny nudziarz i przeciętniak. Na wszystkim odcisnąłeś swoje piętno. Człowiek obdarzony choć odrobiną fantazji wprowadziłby trochę barw, ale panu Rickowi Hawkinsowi taka myśl nie przyszła do głowy. Uchowaj Boże! On trzyma fason, przestrzegając zasad świata biznesu. Wszędzie maskująca szarość. To są twoje barwy ochronne. Należysz do wielkiej armii żołnierzy pieniądza. Wszyscy

jesteście tak samo umundurowani i macie jednakowo urządzone kwatery. Zero oryginalności.

- A po co mi oryginalność? - mruknął.

Niech ta wariatka gada, co chce, o wystroju jego biura. Nie zwracał uwagi na takie drobiazgi. Wnętrze miało robić dobre wrażenie, budzić respekt i świadczyć o prestiżu właściciela. To wystarczy. Estetyka była sprawą drugorzędną. Co ta Eileen sobie wyobraża? Miał biegać z biura do sklepu wnętrzarskiego i z powrotem, znosząc próbki tapet i tkanin albo godzinami dyskutować z dekoratorem o modnych bibelotach? Przecież to idiotyzm! Szkoda czasu na takie bzdury.

Z drugiej strony jednak nie zamierzał spokojnie wysłuchiwać, jak wymyśla mu od głupków i nudziarzy. Był przecież człowiekiem sukcesu! Przez ostatni rok podpisał więcej kontraktów niż którykolwiek z konkurentów. Od trzech lat jego firma doradcza rozwijała się najszybciej na całym Zachodnim Wybrzeżu. W swojej branży nie miał sobie równych. Wypracował własny styl, a tajemnicą owego sukcesu wcale nie była przeciętność i bezwolne naśladowanie innych.

- Rozejrzyj się - perorowała Eileen. - Ten biurowiec to istny koszmar. Kolejne piętra wyglądają identycznie. To mi przypomina królikarnię. Wszyscy mają identyczne szare nory. Bury świat bez światła i barw. - Wymownym ruchem wskazała popielate ściany, dywan w kolorze stali, czarno-białe grafiki na ścianach. - Mogę się założyć, że wszystkie biura w tym budynku urządził ten sam dekora-

tor. Każdy z urzędujących tu rekinów finansjery kupował obrazki u tego samego pacykarza.

- Twierdzisz, że brak mi oryginalności, bo pracuję w biurowcu?

Eileen energicznie kiwnęła głową.

- Zgadza się. Trudno zachować poczucie duchowej swobody, jeśli całymi dniami przebywa się w biznesowym molochu. To przecież istny pomnik konformizmu!

- Słucham? - Musiał się roześmiać, nie zważając na jej obraźliwy ton.

Była w swoim żywiole. Gadała jak nawiedzona hipiska. Wcale by się nie zdziwił, gdyby zaczęła śpiewać odę do księżyca i gadać o duchowym wyzwoleniu.

Bawił się doskonale. Od dawna nie było mu tak lekko na sercu.

- Potrzeba ci odrobiny... - Zasłoniła dłonią lewe oko i krzyknęła: - Nie ruszaj się!

- Proszę? - Odruchowo zrobił krok w jej stronę.

- Ogłuchłeś? Powiedziałam, żebyś stał bez ruchu! - Popatrzyła na niego groźnie. - Nie rozumiesz, co się do ciebie mówi?

- Na miłość boską! O co ci teraz chodzi?

Eileen przykucnęła wolno.

- O soczewkę kontaktową. Wypadła.

- Nabierasz mnie!

- Czy wyglądam na osobę, która ma ochotę do żartów? - burknęła, unosząc głowę, żeby na niego popatrzeć.

- Nosisz soczewki kontaktowe?

Rick zerknął na podłogę i ukląkł ostrożnie.

- Od razu podejrzewałem, że kolor twoich oczu nie jest naturalny. W przyrodzie nie występują tęczęwki o tak intensywnej barwie.

- Uważaj, gdzie kładziesz kolana! - powiedziała ostrzegawczym tonem. Znowu popatrzyła na niego i dodała: - Skoro cię to interesuje, dowiedz się, że nie noszę barwionych soczewek.

- Udowodnij - rzucił jej wyzwanie.

Odsunęła dłoń i otworzyła lewe oko, które było równie zielone jak prawe. Głęboki, nasycony odcień podobny do świeżej wiosennej trawy albo najczystszych szmaragdów na wystawie sklepu jubilera. Popatrzył w te oczy i na moment pograżył się w ich głębinie. Zdawało mu się, że tonie, więc odwrócił wzrok. Nie chciał, żeby go omotała kolejna ślicznotka. Kto raz się sparzył, ten na zimne dmucha.

- Dobra. - Eileen odchrząknęła nerwowo. - Ostrożnie przesunąć czubkami palców po dywanie.

- Często miewasz takie katastrofy? - zapytał, klęcząc obok niej.

- Zwykle kiedy się złoszczę.

- A więc często.

Dostał kuksańca.

- Jakiś ty mądry!

- Już to słyszałem.

- Od Vanessy? - spytała.

- Vanessa jest moją klientką - tłumaczył ze wzrokiem

utkwionym w dywanie, który wolniutko obmacywał. - Kilka razy jedliśmy razem kolację.

- Najwyraźniej ma apetyt na coś więcej.

- Będzie musiała obejść się smakiem, bo ja swój już zaspokoilem - mruknął, wspominając przeraźliwie nudne wieczory z Vanessa.

- Aha. - Eileen odwróciła głowę, żeby na niego popatrzeć. - Mamy temat na niewielkie opowiadanie - dodała zachęcająco.

Zerknął na nią. Odgarnęła włosy na jedną stronę i uśmiechnęła się do niego. Poczul się dziwnie. W tej samej chwili ich ręce dotknęły się w trakcie poszukiwań. Natychmiast zrobiło mu się gorąco. Vanessa nie budziła w nim takich doznań. Ani była żona. Prawdę mówiąc, żadna kobieta tak na niego nie działała.

- Hej, hej! - zawołała cicho Eileen, machając mu ręką przed nosem.

- Przepraszam. Temat na opowiadanie... Właściwie nie ma o czym mówić. Vanessa to... - Przerwał i długo milczał, szukając odpowiednich słów. Właściwie nie musiał się przed nią tłumaczyć, ale gdy spojrzała bawdawczo jednym okiem, wiedział, że nie wykręci się od odpowiedzi. Eileen wyciągnie z niego całą prawdę. W końcu powiedział krótko: - Vanessa była ze mną tymczasowo.

- Nie onajedna. - Eileen uniosła brwi.

- Nic nie trwa wiecznie - odciął się trochę zbyt opryskliwie. Sam to słyszał.

- Ależ z ciebie optymista! - powiedziała z nieukrywaną ironią.

- Po prostu realista.

Lepiej od innych wiedział, co mówi. Przyjaźń, miłość, serdeczne przywiązanie - wszystko się kończy. Zwykle wówczas, gdy człowiek w ogóle się tego nie spodziewa. Rick dawno temu zdecydował, że musi panować nad tym, co się dzieje w jego życiu, więc sam zrywał, nim sprawy się skomplikowały. On był tym, który odchodził. Nie ma mowy, żeby jak przed laty został ze złamanym sercem, bezradny i porzucony.

Wolno pełzł po dywanie, starając się pozostawać blisko Eileen.

- Jak daleko może się potoczyć taka soczewka?

- Dalej, niż myślisz - zapewniła. - Dlaczego twój realizm ma w sobie tyle cynizmu?

Popatrzył na nią znowu. Cholera, była stanowczo zbyt blisko. Widział wyraźnie kilka piegów na jej nosku. Dołczył się sześciu. Zresztą co mu do tego?

- Dlaczego pytasz?

- Kaprys półślepej dziewczyny.

Rick wybuchnął śmiechem. Eileen potrafiła go rozbawić. Tak było od pierwszej chwili, gdy zaczęła tu pracować. Wcześniej zbyt rzadko wybuchał śmiechem. Niepostrzeżenie stał się okropnym ponurakiem. Nadmiernie pochłonięty zawodową karierą nie miał czasu korzystać z owoców swojej pracy. Był przesadnie zaabsorbowany udowadnianiem innym oraz samemu sobie, że potrafi dojść na szczyt, więc



nie starczało mu sił, by cieszyć się pokonywaniem kolejnych etapów. Dopiero Eileen zdołała to zmienić. Odżywał przy niej nawet wówczas, kiedy się kłócili.

Takich odczuć nie można ignorować, lecz branie ich pod uwagę stanowiło jednak poważne zagrożenie.

Wzruszył ramionami i znieruchomiał, bo wydawało mu się, że widzi świetlne refleksy słonecznych promieni załamujących się na soczewce.

- To był wykręt, a nie wyjaśnienie - powiedział, świadomie unikając szczerzej odpowiedzi. Nie miał ochoty przytaczać długiej i smutnej historii swoich amarów. Po pierwsze, Eileen nic do tego, a po drugie, sam chciał o nich zapomnieć. Nie warto rozpamiętywać przeszłości. - Vanessa i ja byliśmy niczym dwa statki, które wpadły na siebie we mgle, a potem każdy odpłynął w swoją stronę. Mówię jak realista, nie jak cynik. Nie warto udawać, że łączyło nas coś więcej.

Dwa statki, spotkanie we mgle... Eileen przez chwilę analizowała owe metafory. To zapewne oznacza, że spali ze sobą. A zatem Vanessa widziała Ricka nagiego. Eileen przez moment próbowała go sobie tak wyobrazić. Podobne wizje od kilku dni nie dawały jej spokoju.

W owych marzeniach skóra Ricka była zawsze mokra. Wychodził spod prysznic, owijał biodra ręcznikiem, a małe krople lśniły na owłosionym torsie. Wyobrażała sobie, jak potrząsa głową, a woda, skrząc się diamentowym blaskiem, pryska na wszystkie strony. Potem ręcznik zsuwał się z bioder, a Rick podchodził bliżej, żeby wziąć ją w ramiona. Obrazy były tak wyraźne i kuszące, że nie-

mai czuła dotknięcie rozgrzanej skóry. Rick pochylał głowę, ciepły oddech muskał jej wargi, a potem...

- Znalazłem!

Wytrącona z równowagi odetchnęła głęboko.

- Co?

- Twoją soczewkę. - Ostrożnie podał jej zgubę. - Otóż i ona.

- Świetnie. - Na moment wstrzymała oddech, żeby się uspokoić.

O Boże, dlaczego w jego biurze jest tak strasznie gorąco? Miała wrażenie, że rośnie jej temperatura. Popatrzyła w piwne oczy Ricka i nie była już w stanie odwrócić wzroku. Zatonęła w ciemnej głębi. Gdy ujrzała tryumfujący uśmiech, miała wrażenie, że coś w niej eksploduje. Krew pulsowała w żyłach jak po długim biegu.

Do tej pory żaden mężczyzna nie budził w niej takich odczuć. Na widok przystojniaków dostawała niekiedy gęsiej skórki, a gdy całowali jak należy, czasami zdarzały się lekkie zawroty głowy, ale dotąd nie fantazjowała tak, żeby z powodu tłumionej żądzy dostać wypieków i dreszczy.

Ani były narzeczony, za którym dość szybko przestała tęsknić, ani ostatni szef, który wiele obiecywał, lecz zostawił po sobie tylko złe wspomnienia, nie doprowadzali jej do takiego stanu.

Nikomu się to nie udało. Dopiero Rick zbił ją z tropu i wprowadził w zmieszanie. Po raz pierwszy czuła, że przestaje nad sobą panować.

- Dziękuję. - Sięgnęła po soczewkę leżącą na jego dłoni.

Gdy musnęła opuszkami palców ciepłą skórę, znów poczuła dreszcze i zrobiło jej się gorąco, ale szybko zapomniała na tych reakcjach. W przeciwnym razie rzuciłaby się na Ricka, błagając, żeby wziął ją natychmiast: tu, w biurze, na dywanie.

To by dopiero było przeżycie!

Natychmiast zerwała się na równe nogi.

- Powinnam umyć i założyć soczewkę. Inaczej będę cyklopem.

Chwiejnym krokiem ruszyła ku drzwiom. Rick poszedł za nią, ale nie odważyła się spojrzeć na niego przez ramię. Pamiętała o żonie Lota, która obejrzała się wbrew zakazowi i została zamieniona w słup soli. Marny los, więc lepiej nie ryzykować.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie, dzięki - odparła, unosząc dłoń. - Od lat sama sobie radzę.

Minęła drzwi sekretariatu i pomaszerowała do toalety korytarzem, który wydawał się dziś wyjątkowo długi. Rick dreptał za nią i ani myślał się odczepić. Zerknęła przez okno na zatłoczoną ulicę. Okropny korek. Jak to dobrze, że musiała dziś zostać dłużej, bo inaczej na pewno by w nim utknęła.

- Nim wyjdziemy, zrobi się luźniej - mruknął, jakby czytał w jej myślach. - W czasie pracy możemy zrobić sobie przerwę i coś zamówić. Trzeba zjeść kolację.

Dobry pomysł, lecz Eileen nie była pewna, czy zdoła dzisiaj przełknąć choćby kęs. Weszła do damskiej toalety,

spojrzała w lustro i zobaczyła Ricka. Wmaszerował śmiało za nią, mijając drzwi opatrzone napisem: dla pań. Chyba mu odbiło, pomyślała Eileen. Widziała niewyraźnie jego odbicie w lustrze, a także dwa plastikowe krzeselka i misę pełną ciętych kwiatów.

- Jaką kolację? - powtórzyła machinalnie.

- Co się tak dziwisz? Jesteś na diecie? Nie chce ci się jeść?

- Chętnie coś przekąszę, ale poczułam się zbita z tropu. Rzadko się zdarza, żeby panowie wchodzili za mną do toalety, żeby zaproponować wspólny posiłek.

Rick oprzytomniał i rozejrzał się wokół, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, gdzie jest. Znowu popatrzył w lustro i z przeproszającym, trochę łobuzerskim uśmiechem pochwycił jej spojrzenie.

- O kurczę!

Eileen miała wrażenie, że kręci jej się w głowie. Ten chłopięcy uśmiech działał na nią tak samo jak wówczas, gdy miała jedenaście lat. W głębi serca pozostała zapewne naiwną smarkułą, która podkochiwała się w tym draniu.

- Ja... Może lepiej... zaczekam w korytarzu. - Rick kciukiem wskazał drzwi.

- Dobry pomysł.

Gdy wyszedł, odetchnęła głęboko. Pochyliła się do przodu, opierając dłonie na niebieskawym blacie, i powiodła do swego odbicia:

- Zastępstwo było fatalnym pomysłem, droga Eileen. Podejrzewam, że będą z tego wyłącznie kłopoty.

### ROZDZIAŁ TRZECI

Rick od dawna nie jadł meksykańskich potraw. Zbyt długo odmawiał sobie tej przyjemności, więc zapomniał, jakie pyszne są tacos i nachos. Prawdziwym odkryciem było dla niego, że można urządzić piknik na podłodze gabinetu. Doszedł do wniosku, że w tym wypadku cała przyjemność wynika nie tyle z wybornego smaku potraw, co z faktu, że dzieli posiłek z Eileen. Była absorbująca, denerwująca i o wiele zabawniejsza, niż sądził.

Przyglądał się jej, gdy ze swadą i poczuciem humoru opowiadała o swoich klientach.

- Jeden facet... - zaczęła i umilkła na chwilę, żeby odgryźć kawałek pysznego taco. Pogryzła, przełknęła i dokończyła zdanie. - Co tydzień zamawia tuzin róż.

- Czuły mężuś? - zgadywał Rick.

- Ależ skąd - odparła, powoli kręcąc głową. - Zmienia dziewczyny jak rękawiczki. Co tydzień inna, więc kupuje róże w najrozmaitszych kolorach. Mówi, że składa zamówienia, biorąc pod uwagę osobowość wybranki. Raz poprosił jednak o dracenę. No wiesz, taka roślina doniczkowa, odrobinę trująca.

- Byłaś zaintrygowana, co? - Rick uniósł brwi.

- Najbardziej intryguje mnie, jak znajduje tyle dziewczyn gotowych się z nim umówić. - Westchnęła i oparta na rękach odchyliła się do tyłu. - Jego sypialnia przypomina chyba pokój przechodni.

- I kto tu jest cyniczny? A może ten biedak ma wielkie serce? - Rick zgiął nogę w kolanie i oparł na nim łokieć.

- Coś w tym jest. - Kiwnęła głową, uznając jego racje. Zapadło długie milczenie. Po chwili Rick odezwał się znowu.

- Co u Bridie?

- Moja starsza siostra doskonale sobie radzi - odparła z uśmiechem, myśląc o powiększającej się stale rodzinie. - Ma troje dzieci, czwarte w drodze. Uwielbia męża i jest szczęśliwa do obrzydliwości. Macierzyństwo naprawdę jej służy, a Jefferson, czyli mąż Bridget, ma bzika na punkcie dzieciaków. Oboje są fantastycznymi rodzicami. - Eileen spojrzała Rickowi w oczy. - Gdybyście przed laty nie zerwali, może byłbyś teraz zabieganym tatusiem.

Zmarszczył brwi, sięgnął po wodę mineralną i upił spory łyk.

- Serdeczne dzięki - mruknął ironicznie, wrzucając do kosza pustą butelkę. - Próbowałem odgrywać rolę męża. To nie dla mnie. Nic z tego nie wyszło. Nie nadaję się też na ojca.

- Zawsze ceniłam w tobie skłonność do pozytywnego myślenia - odcięła się Eileen.

- Znasz mnie jak zły szeląg - przyznał, kiwając głową.
- A ty? Jak tam?
- Proszę?
- Związałaś się z kimś? - zapytał konkretniej.

A właściwie dlaczego się tym interesuje? Jej sprawy nie powinny go obchodzić. Jasne, tak właśnie było. Pytał z grzeczności, dla podtrzymania rozmowy. Mniejsza z tym, jaką usłyszy odpowiedź.

Eileen wstała, sięgnęła po serwetkę, wytarła ręce, podniosła tacę zastawioną pustymi opakowaniami i włożyła ją do białej papierowej torby.

- Teraz jestem sama.

Doskonale, pomyślał, choć w głębi ducha wiedział, że byłoby dla niego lepiej, gdyby miała narzeczonego lub męża albo okazała się zakonnica.

- Trudno mi w to uwierzyć.
- Dlaczego? - Rzuciła mu badawcze spojrzenie.
- Przecież... - Wzruszył ramionami. - Chciałem...
- Czyżbyś zamierzał powiedzieć mi komplement? - spytała z domyślnym uśmiechem.

Nachmurzony Rick zmiął jednorazowe opakowania, ustawił je na tacy, wyrwał Eileen papierową torbę i wepchnął do środka wszystkie śmieci.

- Wszystko się może zdarzyć.
- Aha. W kolejnych odcinkach „Archiwum X”.
- Nie ułatwiasz życia ludziom, z którymi masz do czynienia, co?

Rzuciła w niego zwiniętą w kulkę torebką po tacos. Trafiła w czoło.

- Moja babcia ciągle powtarza, że wszystko, co dobre, nie przychodzi łatwo.

- Oczywiście zakładasz, że samajesteś takim dobrem, tak? Ciekawe, na jakiej podstawie.

Zapadła cisza. Za oknami słońce chyliło się ku zachodowi, barwiąc na czerwono i złoto chmury wiszące nisko nad horyzontem. Milczenie się przedłużało, atmosfera w gabinecie gęstniała.

Rick obserwował uważnie Eileen. Złapał się na tym, że zadaje sobie pytanie, jaki smak mają jej usta. Gdyby ją objął, na pewno nie skończyłoby się najednym pocałunkiem, więc lepiej tego nie robić. Związek z Eileen Ryan byłby niewybaczalną pomyłką. Nie powinien ryzykować, zbliżając się do dziewczyny, która całkowicie wytrącała go z równowagi, a poza tym była wnuczką najlepszej przyjaciółki jego babci. Gdyby obie panie uznały, że postąpił niewłaściwie, musiałyby się przed nimi gęsto tłumaczyć.

Eileen nie należała do kobiet, z którymi się romansuje. Miała czułe, kochające serce, marzyła o mężu, dzieciach i rodzinnych obiadkach. Łapy przy sobie, stary, powtarzał w duchu Rick. Dla takich jak ty wstęp wzbroniony.

Rozsądek nakazywał uwzględnić niepisany zakaz.

- Bierzmy się do pracy - zaproponowała, spoglądając mu w oczy. - Trzeba przygotować umowę.

- Słuszna uwaga. - Rick kiwnął głową. - W przeciwnym razie będziemy tu siedzieć przez całą noc.



- To nie jest dobry pomysł - mruknęła półgłosem Eileen, machinalnie oblizując wargi.

- Aha - odparł cicho i skrzywił się, jakby go coś za-  
bolało. - Rzeczywiście fatalny pomysł.

W czwartek po południu Eileen była pewna, że popełniła wielki błąd. Miała wrażenie, że stąpa po linie rozpiętej nad jamą pełną głodnych lwów. Jeśli zachwieje się i zmyli krok, niewątpliwie zostanie przez nie pożarta.

Marzyła o spokojnym weekendzie. Krótki odpoczynek dobrze jej zrobi. Postanowiła zająć się malowaniem porcelanowej szkatułki, którą wyszperała w ubiegłym miesiącu na pchlim targu, albo odnowić kuchnię. Odkładała to miesiącami, Bóg raczy wiedzieć, jak długo. Nie miała nigdy dość czasu, żeby zająć się drobnymi naprawami, które tak lubiła wykonywać samodzielnie. Na co dzień była zbyt zaabsorbowana kwaciarnią, żeby się do nich zabrać.

Dlatego właśnie się cieszyła na dwa wolne tygodnie. Niedawno zatrudniła Paulę, która jako kierowniczka sklepu sprawdziła się znakomicie. Eileen nie musiała się martwić o firmę. „Kraina Marzeń” była w dobrych rękach.

Wakacyjny wyjazd spalił na panewce, więc postanowiła cieszyć się przynajmniej weekendami i maksymalnie wykorzystać je, żeby odpocząć i zregenerować siły. Potrzebowała spokoju i przestrzeni, żeby odetchnąć wreszcie pełną piersią. Podstawowy warunek: trzeba się znaleźć jak najdalej od Ricka Hawkinsa, a potem rzucić w wir robót

domowych i przy absorbującej pracy na pewien czas zapomnieć o tym, co chciałyby z nim robić. Jęknęła cicho. Miała dwa dni, żeby się wyluzować i nabrać dystansu do tych spraw.

- Eileen?

- Tak jest, szefie?

Odwróciła głowę i popatrzyła na niego. Stał w drzwiach dzielących sekretariat i gabinet. Zmarszczył brwi, widząc, że trzyma w ręku torebkę i kluczyki do auta. Ścisnęła je kurczowo, jak rozbitek na wzburzonym morzu trzyma koło ratunkowe.

- Już wychodzisz?

- Jak to już? Minęła piąta, więc idę do domu - oznajmiła stanowczo, zdejmując z oparcia fotela czarny sweter.

Powinna raczej powiedzieć, że ucieka do domu, ale nie miała zamiaru zwierzać się Rickowi. U siebie nie będzie musiała patrzeć w jego piwne oczy ani do znudzenia powtarzać w duchu, że po fatalnych doświadczeniach nie ma ochoty z nikim się wiązać. Zresztą w tej kwestii przesładowca z dzieciństwa w ogóle nie wchodzi w grę.

Włożyła sweter, wyciągnęła spod niego rude włosy i wskazała brązową kopertę leżącą na jej biurku.

- Tu są listy, które dziś podyktowałeś. Wystarczy popisać, jutro zostaną wysłane.

- Świetnie, ale...

- Do widzenia.

- Eileen...

Znieruchomiała trzy kroki od drzwi, gdy zawołał ją po

imieniu. Tęsknie popatrzyła na kłamekę, westchnęła głęboko, odwróciła się i stanęła z nim twarzą w twarz. Włosy miał potargane, koszuli kołnierzyk rozpięty, krawat rozluźniony. Wyglądał świetnie.

Eileen od razu wiedziała, że zgodzi się, jeśli znów usłyszy propozycję, aby zamówili do biura kolację i popracowali dłużej. W czasie posiłku będzie marzyć o Ricku i wróci do domu przygnębiona samotnością. Gdyby nie zaproponował nadgodzin i kolacyjki, byłaby niepokieszo-  
na, bo ominęłyby ją biurowe fantazje na jego temat. To rozumowanie porażało logiką. Wszystko jasne. Żadnych psychologicznych zawiłości.

- Co? - rzuciła bardziej opryskliwie, niż zamierzała. Sama była zaskoczona ostrym tonem.

- Masz plany na weekend?

Niepewnie przestąpiła z nogi na nogę. O co mu chodziło? Czy dobrze odczytywała jego intencje? Randka zamiast nadgodzin i kolacji w biurze? Może kino lub coś w tym rodzaju? Pracują razem, więc każda taka propozycja wydawała się niestosowna, zwłaszcza że ich babcie to wszystko zorganizowały. Poza tym Eileen nie miała teraz głowy do mężczyzn i randek. O bogowie! Ze zdenerwowania zrobiło jej się niedobrze.

- Czemu pytasz?

- Mam kilka spotkań.

Doskonale. Zamiast proponować randkę mówił o pracy.

- Bardzo mi przykro - mruknęła, cofając się ku drzwiom.

- Będzie mi potrzebna sekretarka.

Nie ma mowy. Eileen straciła już przez niego dwa cudowne urlopowe tygodnie, więc teraz postanowiła, że pod żadnym pozorem nie zrezygnuje z weekendu.

- Rick...

- Jedno spotkanie jutro przed południem, a potem cała sobota i może niedzielny poranek.

- Przecież...

- Zapłacę ci dodatkowo.

Eileen zacisnęła palce na pasku od torebki.

- Nie o to chodzi.

- A o co? - spytał, zakładając ramiona na piersi. Od-  
ruchowo spjrzała na jego tors, który aż nazbyt często  
wyobrażała sobie całkiem obnażony. - Boisz się ze mną  
wyjechać?

Wybuchnęła urągliwym śmiechem, jakby chciała w ten  
sposób zbagatelizować jego insynuacje.

- Jasne! Trafieś w dziesiątkę. Wjazd mnie przeraża.  
Gdzie masz te spotkania?

- W Temeculi.

- Okręgu Riverside?

- Znasz inną?

- Nie, ale...

Rick podszedł do okna i długo przez nie wyglądał.  
Odwrócił się w końcu i popatrzył na Eileen.

- Kiedy założyłem własną firmę, Edward Harrington  
był moim pierwszym klientem. - Wzruszył ramionami.

- Zaryzykował i dał mi szansę. Dwa razy w roku jeżdżę

tam, żeby przejrzeć z nim pakiet akcji i omówić nowe inwestycje.

- Ty do niego?

- Większość doradców finansowych działających na własną rękę spotyka się tak z klientami.

- Cały weekend poświęcisz jednemu facetowi?

- Nie. Edward polecił mnie znajomym z klubu golfowego. Jutro spotkam się z nim, innych zostawiam na sobotę.

- Harujesz przez cały tydzień, a podczas weekendu zwiększasz tempo.

- No tak. - Długo patrzył na nią w milczeniu, a potem unióś ramiona i pomachał rękami. - Wiesz co? Nieważne. Masz rację.

Zaniepokojona obserwowała go nieufnie, bo nie podobał jej się nagła zmiana taktyki.

- Odnośnie czego?

- Nie mogę cię prosić, żebyś ze mną tam pojechała.

- Już poprosiłeś - przypomniała z naciskiem.

- Cofam to.

- Proszę? - rzuciła zbita z tropu, ale odwrócił się i bez słowa poszedł do swego gabinetu. Poszła za nim. Uśmiechnął się ukradkiem, słysząc odgłos kroków. Musiała biec, żeby za nim nadążyć.

- Jak to: cofasz? Nie zachowuj się jak smarkacz z podstawówki! Odbiło ci?

- Nie. - Obszedł biurko i usiadł w swoim fotelu.

Unikał jej wzroku, przekładając ułożone na blacie dokumenty. W chwili gdy poprosił, żeby z nim pojechała,

wiedział, że odmówi. Nie powinien nalegać. Dla nich obojga byłoby chyba lepiej, gdyby została. Wtedy na pewno nie zrobiliby żadnego głupstwa. Z drugiej strony chciał mieć ją przy sobie. Marzył o sam na sam z dala od biura, na neutralnym gruncie. Pragnął jej, do jasnej cholery!

- Rozumię logicznie - tłumaczył beznamiętnym tonem. - Dam sobie radę bez twojej pomocy. Wiem, że moja propozycja jest dla ciebie nie do przyjęcia. Doskonale to rozumiem i nie mam żalu. Zresztą umarłabyś z nudów.

- Czyżby?

- Na pewno. - Popatrzył na Eileen. Jego metoda się sprawdziła. Zielone oczy błyszczały gniewnie. Przez te wszystkie lata nic się nie zmieniła. Przez ułamek sekundy odczuwał wyrzuty sumienia. Zamiast nią manipulować, powinien raczej powiedzieć: Trudno, do widzenia. Ale ulotne poczucie winy natychmiast go opuściło.

- Naprawdę sobie poradzę. Wezmę laptopa i będę na bieżąco robić notatki.

Eileen prychnęła pogardliwie, więc obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

- Tak, sekretarka nie będzie mi potrzebna - ciągnął z ożywieniem, rozkręcając się w trakcie owej tyrady.

Przytaczał kolejne argumenty na dowód, że jest całkowicie samowystarczalny. Eileen reagowała zgodnie z jego oczekiwaniami. Zawsze umiał ją przejrzeć. Wystarczyło jej powiedzieć, że nie może czegoś zrobić, aby od razu nabrała na to ochoty. Kiedy miała dziesięć lat, babcia powiedziała jej, żeby nie biegała po schodach, kiedy ma

na nogach łyżworolki. Oczywiście natychmiast musiała sprawdzić, czym to grozi. Podczas eksperymentu upadła i boleśnie się potłukła. -

Zielone oczy ciskały błyskawice. Czytał w nich jak w otwartej księdze i sprawiało mu to ogromną przyjemność. Od lat miał do czynienia z kobietami zakłamanymi i dwulicowymi, które ukrywają myśli, przybierając maskę fałszywego zainteresowania.

- Nie potrzebujesz sekretarki? - powtórzyła z przekąsem. - Ty? Piszący dwoma palcami?

- Szybkość jest tu bez znaczenia - odparł, unosząc brwi. - Liczy się dokładność.

Popatrzyła na niego z chmurną miną, wydymając śliczne usta. Miał wielką ochotę ją pocałować. Zreflektował się po chwili i pomyślał, że naprawdę byłoby lepiej, gdyby stanowczo odmówiła. Mimo to łudził się nadzieją, że usłyszy inną odpowiedź.

- Poradzę sobie z notatkami. Mogę wziąć dyktafon, a w poniedziałek spisziesz z taśmy wszystkie informacje.

- Mogłabym z tobą pojechać.

- Naturalnie. - Spojrzał na nią łakomym wzrokiem, bo właśnie położyła dłonie na jego biurku i oparła się o nie, lekko pochylona do przodu.

Kołnierzyk prostej, koszulowej bluzki rozchylił się nieco i dzięki temu Rick mógł podziwiać ukradkiem prześliczny dekolt. Rzut oka wystarczył, żeby zrobiło mu się gorąco. Przezornie usiadł w fotelu, więc nie mogła dostrzec, co się z nim dzieje. Odchrząknął i dodał z naciskiem:

- Sama widzisz jednak, że nie ma powodu, abym cię tam ciągnął.

Wyprostowała się i położyła dłonie na biodrach.

- Pracuję u ciebie. Robienie notatek należy do moich obowiązków.

- Wszystko ma swoje granice. Nie mogę wymagać, żebyś towarzyszyła mi podczas weekendu - upierał się, trafnie przewidując reakcję na te słowa. Eileen była najbardziej przekorna ze wszystkich kobiet, jakie znał. - To nieuczciwe.

- Proszę? Co ma do tego uczciwość?

- Chwileczkę! - Rick z bezradnym westchnieniem opadł na oparcie fotela. - Nie odwracaj kota ogonem. Próbuję tylko kierować się zdrowym rozsądkiem.

- Aha. O której masz pierwsze spotkanie? - zapytała, tupiąc niecierpliwie w szaroniebieski dywan.

Widział, że jest zła, więc nakazał sobie powagę. Wszystko by popsuł, gdyby się teraz uśmiechnął. Powinien się wstydić, ponieważ bezwstydnie nią manipulował, ale w głębi ducha tryumfował, zamiast poczuwać się do winy.

- Eileen, naprawdę nie musisz ze mną jechać.

- Ale pojedę. - Spojrzała na niego groźnie. - Jestem twoją sekretarką. Takie mam obowiązki.

- Co za pomysł! Moim zdaniem...

- To nie mój kłopot. Sam się z tym bujaj - mruknęła. - Chciałeś, żebym ci pomogła, a kiedy się zgodziłam, zaczynasz robić problemy.

- Chcę tylko postępować uczciwie.



- Zamknij się.
- No dobrze. - Podniósł ręce do góry, jakby się poddawał. - Nie miałem pojęcia, że to dla ciebie takie ważne.
- Teraz wiesz.
- Doceniam twoją pomoc.
- Mam ten gest. - Odetchnęła głęboko. - Gdzie zarezerwować noclegi?
- W hotelu Hammond Inn. Numer telefonu jest w spisie.
- Znajdę - odparła i ruszyła ku drzwiom.
- Weź apartament z dwiema sypialniami. Będziemy mogli pracować w salonie.

Eileen odwróciła głowę i spojrzała w jego piwne oczy. Pociemniały, ujawniając skrywane w głębi serca tajemnice. Coś w niej pękło i niespodziewanie usłyszała własny głos:

- Dobrze wiesz, że nie zamierzam z tobą spać.
- Popatrzył na nią spod zmrużonych powiek.
- Nie przypominam sobie, żebym cię o to prosił.
  - W porządku. - Znowu westchnęła i energicznie skinęła głową. - A zatem wszystko jasne.
  - Jak słońce.

Wyszła z gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Oparła się o nie plecami i niewidzącym wzrokiem popatrzyła na sufit.

- Ale się porobiło - szepnęła. - Właśnie zrezygnowałam z upragnionego weekendu. Co mnie podkusiło? - Praktycznie błagała Ricka, żeby raczył ją ze sobą zabrać. Na domiar złego miała dzielić z nim apartament, choć zamierzała trzymać się od niego z daleka.

- Nieźle namąciłaś, Eileen - skarciła się, podchodząc do biurka. Przed wyjściem musiała jeszcze zarezerwować hotel. Zajrzała do skorowidza, mrużąc z irytacją: - Na prawdę nieźle.

Zajazd Hammond Inn okazał się uroczą, romantyczną kryjówką, położoną nieco na uboczu, przy lokalnej drodze. Miasto Temecula zaczęło swój żywot jako stacja dyliżansów, a teraz stanowiło interesującą mieszankę starych i nowych budynków.

Stary wiktoriański zajazd, pieczołowicie odrestaurowany i przywrócony do dawnej świetności, prezentował się doskonale. Dach otaczającej go werandy wspierał się na ręcznie wyciosanych z drewna kolumnach, zgodnie z tradycją pomalowanych na biało. Żółtą fasadę o słonecznym odcieniu ozdabiały ciemnozielone okiennice. Jasne meble ustawione na werandzie zachęcały do wypoczynku i miłej pogawędki. W doniczkach zawieszonych na skraju dachu bujnie krzewiły się rośliny o pięknych zielonych liściach. Na klombach wokół zajazdu oraz wzdłuż długiej drogi prowadzącej na podjazd kwitły chryzantemy we wszystkich kolorach tęczy. Przebarwiający się klony i dęby jak czujni żołnierze w barwnych, paradnych mundurach trzymały straż przy zajeździe. Gdy Eileen i Rick szli ku Hammond Inn, od wzgórz dał chłodny wiatr, który szeleścił liśćmi i pochylał kwiaty.

- Jak tu pięknie - powiedziała zachwycona Eileen.

Obróciła się, podziwiając śliczne widoki. Tu i ówdzie

na zboczach porośniętych zrudziałą trawą rosły drzewa. Widoczne z daleka nowe osiedla nie raziły, ponieważ zostały dobrze wkomponowane w krajobraz.

Eileen zerknęła na Ricka i skarciła się w duchu. Dość tego rozmarzenia! Nie przyjechali do Hammond Inn na romantyczną wycieczkę, tylko w interesach. Zajazd był ich tymczasową kwaterą. Mieli się tu spotkać z kilkoma klientami Ricka, którzy mieszkali w okolicy. Łatwiej mu było ściągnąć ich tutaj niż przez cały weekend krążyć autem od rezydencji do rezydencji.

Z drugiej strony jednak gdyby chodziło o romantyczny wyjazd we dwoje, naprawdę nie znaleźliby lepszego miejsca.

- Lubię ten hotel - przyznał Rick. Na szczęście nie zdawał sobie sprawy, o czym myśli Eileen. - Właściciele nie silą się na organizowanie gościom rozrywek, więc mogę spokojnie zajmować się interesami.

- Nie ściemniaj, imprezowiczu. Nikt się nie nabierze na taką gadkę - odparła z udawanym politowaniem.

Przystanął i obrzucił ją spojrzeniem wyrażającym niebotyczne zdumienie, jakby mówiła w obcym języku. Sprawiał wrażenie, że z uwagą przysłuchuje się nieznanym słowom, ponieważ bardzo chce ją zrozumieć. Już przywykła, że czasami dziwnie się na nią gapi.

- Co ty gadasz? Jaki ze mnie imprezowicz?
- To była ironiczna uwaga - wyjaśniła uprzejmie.
- Tak mi się wydawało.

Eileen bezradnie wzruszyła ramionami.

- No proszę! Wszędzie, gdzie jesteś, wleciesz za sobą ten swój szary świat.

Rick strzepnął niewidoczny pyłek z kłapy marynarki.

- Włożyłem niebieski garnitur.

- Niesamowite! Jesteś na luzie!

Zgodnie z jej przewidywaniami Rick uniósł brwi. Znała na pamięć tę minę.

- Przyjechałem tu w interesach.

- Nie słyszałeś, że nawet wielkie koncerty w piątki pozwalają swoim pracownikom ubierać się swobodnie?

- W mojej firmie nie ma takiego zwyczaju.

- A szkoda. Jesteś szefem, więc nie musisz nikogo pytać o zdanie. Mógłbyś nawet rozciągnąć ten obyczaj na cały tydzień.

- Ale nie zamierzam.

- Szary świat jest górą - odparła, idąc dalej. - Życiowy konformizm zwyciężył.

Rickowi wystarczyło kilka kroków, żeby ją dogonić. Był wysoki, więc górował nad nią wzrostem, co jej się bardzo podobało. Spoglądał na nią z powagą, ale oczy mu błyszczały. Czyżby naprawdę widziała w nich błysk świadczący o poczuciu humoru?

- Jesteś chyba świadoma, że człowiek sukcesu musi być odpowiednio ubrany.

- Moim zdaniem sukces oznacza, że człowiek może się ubierać, jak mu się podoba.

- Twoim zdaniem powinienem włożyć džinsy i podarować ci T-shirt?

- Dlaczego podarty? O tym nie było mowy.

Po pięciu świeżo zamiecionych schodkach weszła na werandę. Odwróciła się, żeby na niego popatrzeć. Stał jeszcze na podjeździe obok werandy.

- Nie przypominam sobie, żebyś jako nastolatek chodził w idealnie wyprasowanych koszulach.

- Dorosłem - odparł z naciskiem i wszedł po schodach, stając z nią twarzą w twarz.

- I stetryczałeś - odparła z uśmiechem, próbując opłamać nerwowość.

- Jesteś niemożliwa.

- Już to słyszałam.

Przez kilka chwil stali nieruchomo, patrząc sobie w oczy. Rick opamiętał się pierwszy, lecz Eileen nadal była pod jego urokiem. Gdy wszedł na werandę i przeszedł obok niej, odprowadziła go rozmarzonym wzrokiem. Odwrócił się i zmierzył ją taksującym spojrzeniem.

- Ty również nie włożyłaś dżinsów.

- Zrobię to później - zapewniła z uśmiechem.

- Nie mogę się doczekać.

Spojrzała mu w oczy i zorientowała się, że ciemne tęczy rozświetlił na moment blask żądy. Postanowiła o tym zapomnieć. Nie potrzebowała takich komplikacji.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Apartament był większy od pokoi wynajmowanych zwykle przez Ricka na czas pobytu w Temeculi. Jasna sprawa. Do tej pory nie było mowy o korzystaniu z pomocy sekretarki. Margo za nic w świecie nie poświęciłaby weekendu na pracę. Wolała siedzieć w domu z mężem. Rick miał teraz spore wątpliwości, czy postąpił słusznie, wmawiając Eileen, że bez niej sobie nie poradzi.

Wspólna podróż była dla niego trudną próbą. Burza szalejących w nim hormonów przypominała tę z czasów dojrzewania, kiedy to po raz pierwszy w życiu fantazjował śmiało na temat... Jak miała na imię tamta dziewczyna? Nie pamiętał. Zresztą mniejsza z tym. Lepiej nie wracać do takich wspomnień. Przez wzgląd na siebie i dla Eileen lepiej będzie, jeśli zachowa trzeźwy umysł, bo głupie myśli i bez dodatkowej zachęty nieustannie przychodziły mu do głowy.

Ukradkiem obserwował Eileen, gdy krążyła po wspólnym salonie, z równą uwagą oglądając wszystko: od książek w biblioteczkę po ułożone na kominku polana gotowe do podpalenia. Na środku pokoju stała ogromna kanapa kryta tkaniną w kwiatowe wzory, po obu stronach fotele

z identyczną tapicerką. Na lśniących drewnianych stolikach ustawiono wazony z kwiatami, a w każdym zakamku mnóstwo zapachowych świeczek.

- Super!

Rick kiwnął głową. Tak właśnie myślał o Eileen: ta dziewczyna jest super. Po prostu nadzwyczajna, choć samą swą obecnością doprowadza go do szaleństwa.

- Mam przygotować stół?

- Proszę? - zapytał z roztargnieniem. - Co?

- Do pierwszego spotkania. Rozłożyć dokumenty i przybory do pisania, wyjąć laptopa? - Spojrzała na zegarek. - Ten twój pan Harrington będzie tu za dwadzieścia minut.

- Tak. - Edward Harrington. Klient. Interesy. Jasne. Trzeba się skupić. - Oczywiście. Połóż tutaj wszystkie papiery, a kiedy przyjdzie, zamówię przekąski.

- Chętnie się tym zajmę.

- Świetnie. - Rick chwycił swoją walizkę. - Którą sypialnię wybierasz?

- Ty zdecyduj - odparła, wznosząc ramionami. - Będę miała niespodziankę.

Naszły go znowu głupie myśli, ale szybko się z nimi uporał. Najchętniej wybrałby jedną sypialnię dla nich obojga. To by dopiero była niespodzianka.

- Będziesz spała po prawej stronie, aja tu.

Nie czekając na odpowiedź, poszedł do siebie i zamknął drzwi.

Postawił walizkę, podszedł do wysokiej komody i po-

patrzył w lustro, które nad nią wisiało. Przegarnął włosy palcami i zmierzył ponurym spojrzeniem swoje odbicie.

- Skup się na pracy, Hawkins, bo inaczej będziesz miał kłopoty.

Błyskawica przecięła niebo na horyzoncie, a z oddali dobiegł grzmot przypominający ryk zamkniętego w klatce wściekłego tygrysa. Eileen wyszła z salonu na wąski balkon i zacisnęła ramiona wokół talii. Gwałtowny wiatr zapierał dech. Chwycił rude włosy i uniósł je w górę, aż zatańczyły wokół głowy. Wyciągnęła rękę, przytrzymała je i wystawiła twarz na gwałtowne powiewy, rozkoszując się pędem naelektryzowanego powietrza, które pachniało deszczem. Wokół hotelu nie było żywego ducha. Ulica opustoszała. Wszyscy przechodnie uciekli przed nadchodzącą burzą. Po tej stronie budynku jedynie ich pokoje miały balkon, więc można było spokojnie odetchnąć świeżym powietrzem, nie wystawiając się na ciekawskie spojrzenia.

W salonie złocisty blask żyrandola oświetlał stół i siedzącego przy nim Ricka, który uzupełniał notatki dotyczące finansów Eda Harringtona. Eileen odwróciła głowę, żeby na niego popatrzeć. Odgarnął włosy, przeczesując je palcami. Rozluźniony krawat jak zwykle przekrzywił się na prawo. Piwne oczy lśniły w elektrycznym świetle, a ramiona uwolnione spod ciemnej marynarki wydawały się szersze niż zwykle.

Ten miły dla oka widok sprawił, że Eileen poczuła się zbита z tropu. Na szczęście pogrążony w pracy Rick nie



zauważył jej tęsknego spojrzenia. I bardzo dobrze, powiedziała sobie, zaciskając dłonie na żelaznej balustradzie. Przez cały dzień pracowali zgodnie. Słuchała z uwagą, jak wyjaśniał Edowi, dlaczego pewne inwestycje w papiery wartościowe są korzystniejsze od innych. Nie znała się na tym, ale mówił tak przystępnie, że przez kilka godzin zyskała spore rozeznanie. Podziwiała Ricka; nabrała do niego szacunku.

Teraz gdy skończyli pracę, również zachwycała się nim, ale nie chodziło wyłącznie o walory jego umysłu.

Kolejna błyskawica rozjaśniła niebo promiennym zrywkami. Grom zabrzmiał o wiele bliżej niż poprzednio.

- Za chwilę będziesz przemoczona do nitki.

Usłyszała głos Ricka i natychmiast zrobiło się jej gorąco. Wyszedł na balkon.

- Uwielbiam burze - powiedziała, lekko podnosząc głos, żeby grom nie zagłuszył słów. - Rzadko je tu mamy.

- I bardzo dobrze. Z powodu piorunów musiałem wyłączyć komputer.

- Biedaczek! Wolna chwila to dla takiego pracusia istne nieszczęście - odparła z uśmiechem.

- Mam baterię - odparł rezolutnie.

- W takim razie co ty tutaj robisz? - skarciła go żartobliwie.

Odwrócił głowę i popatrzył na burzowe chmury.

- Sama powiedziałaś, że burze są u nas rzadkością.

- Pochylił się i położył dłonie na barierce. - Doskonale nam dzisiaj szło. Byłaś świetna.

- Dzięki. - Miło, że docenił jej wysiłki, choć zapisywanie na bieżąco przebiegu rozmowy nie stanowiło dla niej szczególnego wyzwania.

Rick westchnął, spoglądając na ogród w dole oraz pasmo wzgórz, które ciągnęło się za budynkiem zajazdu.

- Edward jest zwykle mało mówny. Przy tobie się rozgadał. Od dwóch lat dla niego pracuję, lecz do tej pory ani słowem nie wspomniał o zmarłej żonie. - Rick znowu popatrzył na Eileen. - Wystarczyło pół godziny, żeby zaczął ci o niej opowiadać.

- Ma o tobie bardzo wysokie mniemanie - powiedziała, wspominając niezliczone pochwały, którymi starszy pan go zasypywał. - Powiedział, że dzięki tobie jego skromne oszczędności zmieniły się w prawdziwą fortunę, więc na stare lata nie musi się martwić o przyszłość. - Uśmiechnięta dodała żartobliwie: - Podkreślił, że wnuki będą go błogosławić, ponieważ zostawi im mnóstwo pieniędzy.

- Dzieciaki go uwielbiają. - Rick poweselał i kiwnął głową. - W każdy weekend jeździ z nimi na ryby.

- Wspomniał również, że pomnożyłeś oszczędności jego znajomych - ciągnęła Eileen. - Z wdzięczności, że im ciebie polecił, codziennie stawiają mu kawę w ulubionej kafeterii.

- Miło mi to słyszeć - powiedział Rick, bez pośpiechu mierząc ją wzrokiem.

- Podobno jesteś najmądrzejszym facetem, jakiego zna.

- Przesadził.

- Może.

Eileen doszła do wniosku, że dziś Rick pokazał się jej w bardzo korzystnym świetle. Szczerze mówiąc, przez cały ubiegły tydzień powoli zmieniała zdanie najego temat. Zamiast koszmarne chłopaczyska z przeszłości pojawił się rozumny, inteligentny mężczyzna, który pieniądze klientów traktował z taką pieczołowitością, jakby zarządzał oszczędnościami swojej babci. Co więcej, okazał się również wyjątkowo przystojny, zwłaszcza gdy trochę zmęczony po całym dniu pracy rozluźnił krawat.

Ta ostatnia myśl z pewnością nie wynikała z poprzednich rozważań.

- Edward Harrington to uroczy starszy pan.

- Owszem - przytaknął Rick, spoglądając jej w oczy tak natarczywie, że poczuła się zmieszana. - Ty również jesteś czarująca.

- Naprawdę? - Zabawnym gestem wstydlivej pensjonarki zasłoniła dłońmi policzki, jakby chciała ukryć nieistniejące rumieńce. - Och, pan mi pochlebia!

- Aha - mruknął z łobuzerskim uśmiechem. - Jak tu pięknie pachnie - dodał, przesuwając rękę po barierce, aż dotknęła dłoni Eileen, która poczuła, że krew szybciej płynie jej w żyłach.

- W powietrzu czuje się woń deszczu.

- Nie - odparł, spoglądając na nią. Pochylił się lekko i węszył ostrożnie. - Raczej kwiatów.

Wstrzymała oddech, patrząc mu w oczy.

- To twój zapach, Eileen - szepnął, mierząc ją spojrzeniem wyrażającym bezbrzeżny zachwyt.

- Rick... - zaczęła niepewnie.

Była zaskoczona, bo odważył się zrobić aluzję do tego, co się między nimi dzieje. Padły magiczne słowa. Przez chwilę nie miała pojęcia, jak się zachować.

Jej ciału obce były tego rodzaju wątpliwości. Zareago-  
wało przyspieszonym biciem serca, lekkim oszołomie-  
niem, słabością uginających się kolan.

Rick znów odwrócił głowę i spojrzał na pociemniałe niebo, co pewien czas rozświetlane błyskawicami.

- Zapomnijmy o tej uwadze - mruknął. - Nie powi-  
nieniem mówić takich rzeczy.

Należało go posłuchać, ale nie miała na to ochoty. Nie była w stanie.

- Wykluczone. Nie chcę zapomnieć - odparła szcze-  
rze. Grzmot omal nie zagłuszył tych słów.

Zerknął na nią z ukosa, a potem odwrócił się, wzię ją  
w ramiona i przyciągnął do siebie.

- Byłoby dla nas lepiej, gdybyśmy nie komplikowali  
sytuacji.

- Jasne. - Przesunęła dłońmi po jego ramionach. - Nie  
można nawet powiedzieć, żebyśmy się lubili.

- No pewnie. Jesteś złośnicą.

- A ty nudziarzem.

- W takim razie zapomnijmy o wszystkim i cześć.

- To byłoby rozsądne posunięcie - uznała, obejmując  
go za szyję.

- Pragnę cię do szaleństwa - wyznał łamiącym się głó-  
sem. - Niech diabli wezmą rozsądek.

Znów błysnęło i zagrzmiało. W tej samej chwili Rick pocałował Eileen, która przez moment nie wiedziała, czy dudni grom z jasnego nieba, czy tak gwałtownie bije jej serce.

Rick uniósł głowę i popatrzył na nią. W salonie nagle zrobiło się ciemno.

- Przerwa w dostawie energii - mruknął.

- Tutaj? Nie zauważyłam - odparła, z uśmiechem parząc mu w oczy, z których wyczytała pożądanie.

Rick nie potrzebował dodatkowej zachęty. Pocałował ją znowu, tym razem śmielej i zachłanniej. Radośnie oddawała pocałunki. Szalejąca burza sprawiła, że zapomnieli o skrupułach i zaczęli się nawzajem rozbierać. Wkrótce stanęli nadszy w świetle błyskawic. Oboje czuli w głębi ducha, że postępują właściwie, chcąc kochać się tu i teraz, podczas burzy, na balkonie.

Rick na moment pobiegł do swego pokoju. Oboje ulegli presji zmysłów, ale nie mogli pozwolić, żeby chwila zapomnienia nieodwołalnie zmieniła ich życie.

Kochali się w strugach deszczu, radośni i pełni zapału. Światło błyskawic wydobywało z mroku ich splecione ciała, a grzmoty zagłuszały westchnienia, okrzyki i jęki. Zachwyceni i owładnięci rozkoszą chłonęli świat i siebie nawzajem, ciesząc się niezwykłością tych chwil.

Dużo czasu minęło, zanim oboje uświadomili sobie, że drżą nie tylko z rozkoszy, lecz także z zimna. Ulewa nasilała się z minuty na minutę. Rick wziął Eileen na ręce i zaniósł ją do swojej sypialni.

- To było niesamowite - szepnęła.

Roześmiał się, szukając w ciemnościach drogi do właściwych drzwi.

- Naprawdę? I pomyśleć tylko, że dokonałem tego w strugach deszczu. Na sucho bywam lepszy.

- Ach tak? Daj mi ręcznik! - odparła, podnosząc głowę, żeby na niego popatrzeć.

- Ciekawy pomysł - odparł i przytulił ją mocniej.

- Uwielbiam pomysłowe rozwiązania - odparła Eileen ze wzrokiem utkwionym w jego twarzy.

Kiedy znaleźli się w sypialni, zsunęła się na podłogę i kusząco poruszyła biodrami. Rick znieruchomiał.

- To ponad moje siły - jęknął.

- Nie sądzę - powiedziała, kręcąc głową. Krople wody z mokrych włosów rozprysły się na wszystkie strony.

Pożądanie rozpałiło się w nich na nowo, gdy opadli na łóżko przykryte staromodną bawełnianą narzutą. Miękką tkaniną przyjemnie rozgrzewała wyziębioną deszczem skórę. Wielkie krople bębniły zawzięcie o blaszany dach, a błyskawice rozświetlały ciemną sypialnię. W ich widmowym blasku Eileen widziała twarz Ricka. Wyczytała z niej tę samą niecierpliwość, którą sama odczuwała. Szybko przejęła inicjatywę i usiadła mu na biodrach, zasypując pieścizotami i pocałunkami. Śmiało podążała za nią ku szczytowi rozkoszy, aż oboje zatracili się całkowicie w niezwykłych doznaniach i zupełnie opadli z sił.

Mieli wrażenie, że oszołomieni niedawnymi przeżyciami przez wiele minut, a może godzin lub dni, powracają

do rzeczywistości. Eileen oblizała wargi spuchnięte od pocałunków.

- Wierzyć się nie chce... - zaczęła drżącym głosem.

- Dobrze to ujęłaś - odparł cicho. Grzmot omal nie zagłuszył jego słów.

- Muszę przyznać... - Przerwała i westchnęła głęboko.

- Jak na sztywniaka i nudziarza znakomicie sobie radzisz.

- Kto by pomyślał, że taka jędza i złośnica okaże się prawdziwym wulkanem namiętności - odparował żartobliwie.

Uśmiechnęła się w ciemnościach, lecz wkrótce spoważniała, ponieważ była świadoma, że ta noc nie będzie trwała wiecznie.

- Pożałujemy tego, prawda?

- Zapewne.

- Tak sądziłam. - Wsłuchana w urywany oddech Ricka obserwowała grę światła i cieni na belkowanym suficie. Ogarnięta szaloną gonitwą myśli nie była w stanie żadnej z nich zatrzymać i przeanalizować. Może to i lepiej. Gdyby teraz rozumowała trzeźwo, musiałaby natychmiast zwinąć się za wszystko, co przed chwilą z nim wyprawiała.

- Musisz wiedzieć, że nie szukam nikogo na stałe - powiedziała cicho.

- Ja również.

- Dobrze się składa.

- Aha. Doskonale.

- Mimo wszystko ta noc skomplikuje nam życie, prawda? - mruknęła.

- Chodzi o to, że ilekroć popatrzę na ciebie siedzącą przy biurku, będę wspominać, jak wyglądałaś w moim łóżku? - upewnił się, a gdy kiwnęła głową, dodał: - Masz całkowitą rację.

- Mnie również nie będzie łatwo - przyznała, świadoma, że trudno jej będzie patrzeć na niego, nie wracając myślą do szalonych chwil spędzonych na hotelowym balkonie. Głupio, Eileen, bardzo głupio, skarciła się. Nie powinna do tego dopuścić. Jak mogła niczym napalona smarkuła ulec buzującym hormonom? Nie była przecież nastolatką.

Daremnie wbijała sobie do głowy, że mężczyźni oznaczają wyłącznie kłopoty. Sama tego doświadczyła.

- No właśnie - odezwał się Rick. - Należało starannie unikać takich sytuacji.

- Zgadza się. - Popatrzyła na niego i spostrzegła, że przebijając wzrokiem półmrok, patrzy w sufit. Zastanawiała się, o czym teraz myśli. Może szuka sposobu, żeby taktownie skłonić ją do opuszczenia swego łóżka. A może lada chwila oznajmi, że rozmyślił się i już nie chce, aby dla niego pracowała. To jasne, że woli uniknąć krępującego towarzystwa.

- Pamiętaj, że niedługo zniknę z twego życia. Jestem w nim obecna tymczasowo, na zastępstwo. Za tydzień odejdę.

- Gdyby to było takie proste...

- Już nie jest.

- Racja.



Z westchnieniem przetoczyła się na bok. Poczowała ciepło jego ciała i nie zdołała oprzeć się pokusie. Wyciągnęła ramię i dotknęła Ricka, przesuwając dłońią po jego torsie.

- Pomyśleć tylko, że kochane babunie tak nas wrobiły.

Wybuchnął śmiechem, chwycił jej rękę i splótł palce.

- Nie sądzę, żeby o to im chodziło.

- A kto je tam wie? - mruknęła nieufnie.

- Przestań marudzić - odparł. Niski głos zabrzmiał donośniej, a palce zacisnęły się na jej dłoni. - Co się stało, to się nie odstanie. Jesteśmy dorośli. Nie warto dramatyzować. Spędziliśmy ze sobą noc...

- Cudowną noc - poprawiła.

- Nie ulega wątpliwości.

- Miło mi to słyszeć.

- Jest rzeczywiście wspaniała. - Popatrzył jej w oczy.

- Dzięki.

- To ja powinienem ci dziękować - odparł.

- Wierz mi - powiedziała, uśmiechając się z ociąganiem. - Cała przyjemność po mojej stronie.

- No pewnie!

- Nie masz problemów z samooceną!

Przysunął się bliżej, odwrócił Eileen na plecy i wsparty na łokciu przyglądał się jej uważnie.

- Podarujmy sobie tę jedną noc. Nie pytajmy, co było i co będzie. Żadne z nas nie marzy o miłosnych wyznaniach i uroczystych obietnicach. Nacieszymy się sobą, a jutro wrócimy do pracy.

Długo patrzyła mu w oczy. Podziwiała urodziwą twarz

i pięknie zarysowane usta. Chciała je znowu całować, przypomnieć sobie ich smak. Przed chwilą czuła się zaspokojona, ale teraz na nowo ogarnęła ją żądza. Nigdy dotąd jej się to nie zdarzyło.

Miała wcześniej kochanków - narzeczonego, a potem Joshuę - ale tamte związki były niczym wobec dzisiejszego doświadczenia. Część jej natury chciała kontynuować ten eksperyment i przeżyć go do końca, ale bardziej zachowawcza i lękliwa strona osobowości radziła wycofać się, póki zdrowy rozsądek góruje nad zmysłami.

Nie mieli przed sobą żadnej przyszłości. Rick nie chciał się wiązać. Był taki sam jak inni mężczyźni, którzy stanęli na drodze Eileen. Życzył sobie, żeby pomogła mu w pracy, a także poszła z nim do łóżka, lecz na niej samej wcale mu nie zależało. Nie było mowy o trwałym związku. Ich udziałem stała się tylko... odrobina przyjemności. Czy wolno się nią cieszyć? Czy naprawdę unikną życiowych komplikacji?

- Sądziysz, że możemy? - zapytała niepewnie.
- Ja mogę - odparł pół żartem, pół serio.

Pogłaskał ją po policzku i wsunął za ucho kosmyk rudych włosów. Wystarczyło, że na nią spojrział, i zaraz ogarniało go pożądanie. Mimo to wiedział, że rozstanie przyjdzie mu łatwo. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia, musiał odejść. Nie mógł sobie pozwolić na ryzyko prawdziwej bliskości. Nie byłby w stanie całkiem zaufać Eileen. Kto raz się sparzył, ten na zimne dmucha. Ostrożności nigdy za wiele. Przed laty przyrzekł sobie, że po raz

drugi nie da się nabrać. Zrozumiał wówczas, że łatwiej mu żyć, gdy jest sam. Seks to jedno, a miłość i trwałe związki - to całkiem inna sprawa. Tamte rzeczy w ogóle go nie interesowały.

- Chcesz? - upewnił się.

- Tak.

- Świetnie - powiedział, odsunął się, wstał z łóżka i z porozumiewawczym uśmiechem odwrócił głowę, żeby na nią popatrzeć. Zrobiło jej się ciepło na sercu.

- Ja się zgadzam, a ty odchodzisz? - spytała z niedowierzaniem.

- Zapalę kilka świec. Tym razem chciałbym cię widzieć.

- Świetnie.

Blask świec dodawał jej urody.

Niewielkie płomyki rozświetliły sypialnię, wydobywając z mroku kwiatowy deseń tapety. Za oknami szalała burza. Krople deszczu dzwoniły o szyby. Rozjarzone błyskawice i dudniące gromy sprawiały wrażenie, jakby do okien dobijała się natrętnie dzika bestia. Eileen ułożyła się w kuszącej pozie na śnieżnobiałej pościeli ogromnego łóżka z baldachimem. Rick ani myślał opierać się pokusie.

Do tej pory nie zaznał równie silnego pożądania, które z każdym dotknięciem wybuchało jak płomień. Wystarczyło jedno spojrzenie na gładką, jasną skórę lśniąca w przyćmionym świetle, żeby zapragnął natychmiast przesunąć po niej dłońmi.

Eileen nie przypominała znanych mu wcześniej kobiet.

Różniła się od nich pod każdym względem. Była wyjątkowa.

Jej sposób bycia, śmiech, zapach... Pachniała różami i słońcem; mieszanka zniewalająca mężczyznę zawałonego robotą i przez cały dzień zamkniętego w czterech ścianach szarego gabinetu. Kpiła z jego pracowitości i żartobliwie oskarżała, że nazbyt poważnie traktuje samego siebie. Nie lubiła, gdy wydawał jej polecenia. A jemu wszystko się w niej podobało.

Powinien się nad tym zastanowić. To był powód do niepokoju. Rick uznał jednak, że zrobi to później. Teraz musiała jej dotknąć. Gdy wracał do łóżka, drżał na samą myśl, że zaraz przyłgnie do niej całym ciałem.

Eileen oparta na łokciach uniosła się lekko, przechyliła głowę na bok i powiedziała z uśmiechem:

- Mam pytanie.
- Tak? O co chodzi?

W przyćmionym świetle świec krople wody na mokrych rudych włosach lśniły niczym diamenty. To porównanie dało mu do myślenia. Skąd mu to przyszło do głowy? Dawniej nie miał skłonności do poetyckich metafor. Wstrzymał oddech, gdy Eileen uniosła stopę i leniwie przesunęła ją po łydce.

- Zawsze masz ze sobą paczkę kondomów, gdy jedziesz w podróż służbową, zabierając sekretarkę?

Stanął przy łóżku i położył dłoń na jej kolanie. Uśmiechnęła się i przymknęła oczy pod wpływem delikatnej pieśczoły.

- Nie. Pamiętasz stację benzynową, na której zatrzymaliśmy się, żeby zatankować?

- Aha - mruknęła z roztargnieniem, bo przesunęła dłoń wyżej, dotykając uda.

- Takie sklepiki oferują bardzo szeroki asortyment towarów.

- Ciekawe! Jesteś nadzwyczaj przewidujący.

Spojrzał na nią, mrużąc oczy. Migotliwy blask świec wydobywał z mroku jej twarz.

- To jedna z moich licznych zalet.

- Jakie są inne?

- Wkrótce się dowiesz.

Dotrzymał słowa. Znów słyszał tylko jej westchnienia, czuł na policzku urywany oddech. Wypełniła mu cały świat. Kiedy się znów połączyli, była wszystkim. Przez tę jedną noc należała do niego. Jej zapach przyprawiał go o zawrót głowy, a smak jej ust budził nieznane dotąd pragnienia.

Poruszali się zgodnie, a ich cienie tańczyły na ścianach w półmroku rozjaśnionym blaskiem świec i światłem błyskawic. Za oknem szalała burza, a tych dwoje całkiem niespodziewanie odkrywało światy, dla nich samych stającą ogromne zaskoczenie. Odnaleźli uczucie, którego nie szukali.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Świt ich zaskoczył; przyszedł szybciej, niż oczekiwali.

- Burza minęła - szepnęła Eileen, gdy leżeli obok siebie w półmroku. Wiedziała, że Rick też nie może zasnąć.

Krople wody skapywały z liści bluszczu, a odgłosy przypominały tykanie zegara odmierzającego ostatnie minuty cudownej nocy. Pierwszy brzask rozświetlił niebo, przyćmiewając dopalające się świece. Większość dawno zgasła, a nieliczne, które wciąż się tliły, przestały być potrzebne.

Zachmurzona Eileen skuliła się i podciągnęła kołdrę, żeby zasłonić obnażone piersi. Nie miała pojęcia, skąd ta nagła wstydlivość, skoro Rick całował i pieścił każdy centymetr jej skóry. Zasłoniła dłonią oczy, starając się nie myśleć o tym, co wyprawiali dzisiaj w ciemnościach sypialni.

- Żałujesz? - spytał nagle, a jego głęboki baryton przypominał odległe dudnienie grzmotu.

Długo zastanawiała się nad odpowiedzią. Czy żałowała swojej decyzji? Jakże by mogła! Rick dał jej rozkosz, jakiej dotąd nie знаła. Tak cudowne chwile przeżywała tylko bohaterki czytanych przez nią powieści. Nie, mowy

nie ma o żalu lub skrupułach. Szkoda tylko, że podobna noc się nie powtórzy. Ale tak będzie lepiej i bezpieczniej dla nich obojga. Eileen nie chciała angażować się uczuciowo, a doskonale zdawała sobie sprawę, że jeśli nadal będzie sypiać z Rickiem, nieuchronnie odda mu się nie tylko ciałem, lecz także sercem i duszą. Musiała chronić samą siebie. Trzeba przeciwstawić się rozszalałym hormonom i pamiętać o niedawnej umowie. Jedna noc; to wystarczy.

- Nie żałuję - odparła krótko na jego pytanie.

- Ale musisz wszystko przemyśleć - droczył się z nią.

Odwróciła głowę, żeby na niego popatrzeć. W świetle poranka był równie przystojny jak w blasku świateł.

- A ty żałujesz? - spytała po chwili. Wstrzymała oddech, gdy przesunął dłonią po jej boku i objął pierś.

- Ani trochę - odparł i pochylił się, żeby ją pocałować, a następnie położył się znowu na plecach i spojrzał w sufit.

- Bardzo dobrze. Teraz wstaniemy z łóżka, weźmiemy prysznic i zaczniemy nowy dzień - powiedziała, trochę zasmucona, bo cofnęła rękę. Nadal pragnęła jego pieczy.

- Owszem.

W nocy wydawało im się, że to doskonały pomysł, ale teraz... Eileen usiadła, opuściła stopy na podłogę i zacisnęła wargi, by nie powiedzieć jakiegoś głupstwa, na przykład że pierwszy brzask to jeszcze nie rano, więc mogliby...

- Noc minęła, więc między nami wszystko skończone.

- No właśnie. Trzeba wrócić do rzeczywistości i zabrać się do pracy.

- Racja - odpada Eileen. Czuła się trochę zakłopotana, bo choć bolały ją nawet te mięśnie, o których istnieniu dotąd nie miała pojęcia, najchętniej rzuciłaby się znowu w ramiona Ricka.

Wstała i chwyciwszy frotowy szlafrok zostawiony na ławeczce w nogach łóżka, pomaszerowała ku drzwiom. Otulona ciepłątką tkaniną zawiązała pasek i odwróciła się w progu, żeby popatrzeć na Ricka.

- Idę do swojego pokoju. Wezmę prysznic, a mniej więcej za godzinę zjemy razem śniadanie w salonie, zgoda?

Uniósł się wsparty na łokciu, a kosmyki ciemnych włosów opadły mu na czoło. Wyglądał teraz jak słodki drań. Nie przypominał finansisty, przez cały dzień paradującego w garniturze. Eileen miała ochotę wrócić do łóżka i pieścić znów szeroki tors, czuć pod palcami przyspieszone bicie serca. Nie uległa pokusie, tylko zacisnęła dłoń w pięści i wsunęła w kieszenie szlafroka.

- Za godzinę - powtórzył krótko, odprowadzając ją spojrzeniem.

Eileen stała pod strumieniem gorącej wody, próbując uporządkować myśli i odczucia, a także przywołać się do porządku. Najchętniej zapomniałaby całkiem o minionej nocy albo ukryła wspomnienia w najciemniejszym zakamku pamięci, skąd nie mogłyby się wydostać, żeby ją dręczyć. Daremnie jednak łudziła się, że to możliwe.

Gorące wodne bicze chłostały ciało, masując obolałe



mięśnie i rozgrzewając skórę. Mimo woli wspominała pocałunki Ricka, jego pieszczoty i zachwycone spojrzenia. Natychmiast za nim zatęskniła.

Szelest zasłony prysznicowej i stukot pierścieni, które przesunęły się po metalowym pałaku, wyrwał ją z zamyślenia. Odwróciła się natychmiast.

- Rick! - krzyknęła zdziwiona, gdy nagi wszedł pod prysznic.

Objął ją mocno i przyciągnął do siebie, ocierając się ciepłą, wilgotną skórę.

- Słońca jeszcze nie widać, a zatem noc trwa.

Po jego minie poznała, że mówi poważnie. Spojrzała mu w oczy.

- Zgadzam się z tobą - odparła.

Stali mocno przytuleni, a strumień gorącej wody obmywał splecione ciała. Gęsta para okryła ich ciepłym, wilgotnym obłokiem, tworząc mały zamknięty świat, w którym byli tylko we dwoje. Rick miał wrażenie, że urządzenie do masażu wodnego zmienia rytm i natężenie, dostosowując się automatycznie do tempa i siły uderzeń jego serca. Gdy uniósł Eileen i wszedł w nią, radość i nagłe poczucie spełnienia zaparły mu dech w piersiach. Po jej wyjściu próbował zapanować nad pożądaniem. Daremnie. Kiedy usłyszał szum wody i wyobraził ją sobie stojącą nago pod prysznicem, nie był w stanie oprzeć się pokusie.

Uszczęśliwiony zmierzał wraz z nią ku najwyższej rozkoszy, która tej nocy stała się dla niego czymś pewnym i znajomym. Wtulił twarz w ciepłe ramię Eileen. Chłonąc

wszystko, co gotowa była mu ofiarować, zapomniał o rzeczywistości.

Godzinę później jedli w łóżku śniadanie. Otuleni futrowymi szlafrokami pałaszowali truskawki i francuskie rogaliki, popijając gorącą kawą.

- O której ma się zjawić pierwszy interesant? - zapytała Eileen i nadgryzła świeżutki, dojrzały owoc wyhodowany w szklarni przylegającej do zajazdu.

Rick zerknął na budzik stojący na nocnym stoliku.

- Za niecałą godzinę.

Eileen z zadowoleniem kiwnęła głową.

- I bardzo dobrze, nie sądzisz?

Popatrzył na nią i stracił wątek, bo nagle zachciało mu się scałować truskawkowy sok z jej ust. Nie do wiary, pomyślał, obserwując własne reakcje. Gdyby nie brak czasu...

Zaskakiwał samego siebie. Powinien być wykończony, a jednak czuł się znakomicie. Nigdy dotąd nie był równie ożywiony i pełen werwy. Rozpierała go energia. Eileen stała się dla niego jej niewyczerpanym źródłem. Przy niej serce biło mocniej, a krew szybciej krążyła w żyłach. Nie mógł się nasycić tą cudowną dziewczyną.

- Tak - mruknął bez przekonania. - Chyba masz rację.  
- Dolał kawy do obu kubków. - Dziś mamy trzy spotkania, a jutro z samego rana jedno.

- W porządku.

- Jeśli chcesz, wieczorem możemy gdzieś pójść. Jest tu fajne kasyno.

- Brzmi interesująco.

Rick skrzywił się, słysząc jej oficjalny ton. Niech to diabli! Szczerze mówiąc, sam również mówił tak, jakby nic ich nie łączyło.

- Eileen, nie musimy zachowywać się jak dwoje niemal obcych ludzi. Cholera, coś jednak razem przeżyliśmy, więc przestań być taka oficjalna - burknął zirytowany, ponieważ drażniło go, że się od siebie odsuwają.

Z drugiej strony tak byłoby dla nich najlepiej. Nie warto tego ciągnąć, prawda? Obiecał sobie, że w przyszłym tygodniu z nią zerwie, i zamierzał dotrzymać słowa. Na sto procent!

Nie ma mowy, żeby tkwił w tym układzie, czekając, aż Eileen go rzuci. Raz dał się nabrać, ale nie powtórzy tamtego błędu. Życie go nauczyło, że trzeba wiedzieć, kiedy odejść.

- Było fantastycznie - powiedział stanowczo - ale to już koniec.

- Owszem - przytaknęła, opierając się plecami o zagłówek łóżka. - Jesteśmy dorośli. Nie składaliśmy sobie żadnych obietnic. Rozstaniemy się w zgodzie, jak przystało na ludzi świadomych i cywilizowanych, prawda?

- Naturalnie. - Uśmiechnął się do niej. - A ta szalona noc nie może się powtórzyć.

- Dlaczego? - zapytała, obejmując dłońmi ciepły kubek.

Rick uśmiechnął się i upił łyk gorącej kawy.

- Są ważne powody. Musimy dbać o swoją reputację.

Gdy pani Hammond przyniosła nam śniadanie, zapytała, czy słyszałem w nocy jakieś dziwne odgłosy.

Zdumiona Eileen otworzyła szeroko oczy.

- Dziwne odgłosy? O co jej chodziło?

- Wygląda na to, że nim się rozpadało, dobiegł ją głośny skowyt albo jęk.

- No nie! - Spłoszona Eileen zasłoniła dłonią usta, a Rick zachichotał i pokręcił głową.

- Nic się nie martw. Wytłumaczyła sobie, że to pewnie kojot upolował małe zwierzątko.

- Kojot? - zachnęła się oburzona.

- Tak. Wygląda na to, że w krytycznym momencie wydałaś odgłos przypominający jęk zduszonego króliczka.

Eileen wyjęła mu z rąk kubek, odstawiła swoją kawę, chwyciła poduszkę i z całej siły walnęła nią w głowę zadowolonego kochanka.

- Niestety, dobre intencje diabli wzięli, a pokusa okazała się zbyt silna.

- Znowu to zrobiliśmy - powiedziała z westchnieniem.

- Aha, zauważyłem - odparł zdyszany Rick i przetoczył się na plecy.

Wyczerpany znieruchomiał obok niej. Oboje leżeli nadszy na dywanie przed kominkiem. Eileen skrzywiła się boleśnie i wyciągnęła spod pleców długopis, którego niedawno szukali.

- Jesteś, draniu! Przez ciebie tak cierpiałam! - zawołała tryumfalnie.

- Proszę? - mruknął ze zdziwieniem Rick.

- Zguba naszego klienta: długopis, który upuścił i nie mógł znaleźć - wyjaśniła.

Rick zachichotał i pokręcił głową.

- Co nas napadło? - mruknął zafrasowany.

- Żebym toja wiedziała... - Ręka trzymająca długopis opadła na brzuch. - Sadzę, że dla własnego dobra powinniśmy przeanalizować sytuację i coś wreszcie ustalić, bo inaczej całkiem opadniemy z sił.

Ostatni interesant wyszedł przed godziną. Ledwie zamknął za sobą drzwi, zgodnie się rozebrali. Teraz u obojga dawały się zauważyć objawy skrajnego wyczerpania, a jednak nadal między nimi iskrzyło. Eileen czuła, że mimo erotycznych ekscesów sprzed kilku chwil pożądanie w niej nie wygasło. Jak tak dalej pójdzie, z końcem weekendu będą zbyt osłabieni, żeby dojechać do domu.

Mimo wyczuwalnego napięcia udało im się przetrwać cały dzień w poczuciu jakiejś takiej równowagi ducha. Eileen stenografowała i na bieżąco wprowadzała informacje do bazy danych, gdy Rick omawiał proponowane zmiany w pakietach akcji. W wolnych chwilach umilała interesantom czas rozmową. Unikała badawczego spojrzenia piwnych oczu, ale chwilami czuła je na sobie. Przyglądał się jej, kiedy wprowadzała klientów do salonu i odprowadzała ich do drzwi. Z pobłażliwym uśmiechem słuchała starszych panów, którzy kolejno wynosili Ricka pod nie-

biosa, podkreślając zarazem, że jest doskonałą partią: taki przystojny, rozumny, no i bogaty.

Nie uszło jej uwagi, że słuchając tych aluzji, stawał się nieprzystępny, jakby ogarniało go poczucie zagrożenia. Na tychmiast milkł i zamykał się w sobie, chociaż wiedział, że starsi panowie tylko przekomarzają się z nimi. Chciałaby zapewnić, że nie ma powodu do obaw. Nie szukała przecież dobrej partii. Na razie nie zamierzała wychodzić za mąż. Darowała sobie jednak te uwagi, bo w obecności interesantów byłyby niestosowne. Z kolei gdy została z Rickiem sam na sam... no cóż, jakoś się nie zgadało.

- Wygląda na to, że nasz układ dotyczący jednej nocy jest nieaktualny - odezwał się po długim milczeniu.

- Chyba masz rację - przyznała.

- Zawrzemy kolejny?

- Żeby wszystko było jak należy, powinien dotyczyć dwu nocy.

- Doskonale. Niech będą dwie. Niewielka różnica - burknął poirytowany.

Odwróciła głowę na bok, żeby na niego popatrzeć.

- Czyżby brak snu wywoływał u niektórych napady złego humoru?

- Ależ skąd! Nie snu mi brakuje - mruknął, znacząco spoglądając jej w oczy.

- Chyba wiem, co chcesz przez to powiedzieć, drogi szefie - powiedziała z domyślnym uśmiechem. - Ale nim postanowimy spędzić w łóżku cały weekend, ustalmy kilka zasad.

- Zasady są w porządku. - Rick przetoczył się na bok i oparł głowę na łokciu.

- Wiedziałam, że to powiesz. - Eileen zachichotała.

W ciągu tych kilku dni zdążyła go nieźle poznać. Ona również położyła się na boku i popatrzyła na niego. Płomień buzowały w kominku za jego plecami, rozświetlając potarganą czuprynę. Eileen korciło, żeby wyciągnąć rękę i pogłaskać ciemne włosy. Mogłaby tak leżeć do końca świata...

Uwaga! Zapaliło się w jej głowie czerwone światło. Wstrzymała oddech, gdy Rick wyciągnął rękę i pogłaskał obnażoną pierś.

- Po pierwsze - zaczęła nieco głośniejszym głosem niż zamierzała - żadnych więzów.

- Zgoda - przytaknął, mrużąc oczy. - Nie szukam nikogo na stałe.

- Ani ja - wyznała szczerze. Gdy popatrzył na nią uważnie, dostrzegła w nich wyraz zdumienia, więc uznała za stosowne natychmiast zareagować. - Czyżbyś uważał, że każda kobieta chce zastawić na ciebie pułapkę i zaciągnąć do ołtarza?

W milczeniu uniósł brew, a jego spojrzenie było wymowniejsze niż wszelkie słowa.

- Bez obaw, przystojniaku - uspokoiła go. - Przy mnie jesteś całkiem bezpieczny.

- Co właściwie oznacza dla ciebie brak więzów? - zapytał, udając, że nie słyszy ostatniej uwagi.

- Chyba że powinniśmy się cieszyć tym, co mamy,

póki trwa - odparła i westchnęła pod wpływem delikatnej pieczyoty.

Dłoń Ricka nadal spoczywała na jej piersi. Eileen zacisnęła powieki, a potem uniosła je i spojrzała mu prosto w oczy.

Gdy jedno z nas będzie miało dość, po prostu zerwie. Dobrze mówię?

- Oczywiście.

- Uściśnijmy sobie dłonie, żeby przypieczętować naszą umowę.

Kąciki jego ust uniosły się lekko do góry.

- Proponuję inny uścisk - odparł żartobliwie.

Weekend minął jak w oszołomieniu, które było przyjemne, ale budziło niepokój. W niedzielny wieczór Eileen weszła do swego domu, zostawiła w holu walizkę na kółkach i pobiegła do salonu. Usadowiona na miękkiej, wygodnej kanapie oparła stopy o blat niskiego stolika znalezionej jakiś czas temu na pchlim targu i starannie odnowionego. Ukryła twarz w dłoniach i zastanawiała się, jak wkomponować przelotny romans w swój uporządkowany świat.

Nie planowała tego. Kto by pomyślał, że właśnie Rick Hawkins rozпали ją niczym pochodnię? Nie przewidziała, że przysługa wyświadczona babci, czyli zgoda na dwutygodniowe zastępstwo w jego biurze będzie początkiem... Eileen położyła dłonie na kolanach. No właśnie! Czego? Coś się między nimi zdarzyło. Ale co? Weekendowa przygoda? Chwilowy wybuch namiętności bez dalszego ciągu?



Przyznała w duchu, że byłoby jej żal, gdyby tak się sprawy miały. Nie szukała trwałego związku, ale od dawna nie miała nikogo i czuła się samotna. Z Rickiem było jej naprawdę dobrze. Nie chodziło wyłącznie o łóżko, choć musiała przyznać, że pod tym względem był naprawdę wyjątkowy. Cieszyła się jego towarzystwem. Mieli zbliżone poczucie humoru, chętnie rozmawiali na różne tematy, lubili późne kolacyjki, drzemki przed kominkiem i długie spacerunki po bezdrożach. Eileen z zainteresowaniem słuchała jego wyjaśnień dotyczących obrotu akcjami.

Wszystko to było dla niej prawdziwym zaskoczeniem.

Nie czuła się tak od czasu, gdy zerwała z Robertem Batesem. Kilka lat temu była z nim zaręczona. Spochmurniała, chwyciła zieloną poduszkę stanowiącą ozdobę kanapy i przytuliła ją do piersi. Chodziła z nim na uczelni. Studiował medycynę. Planowali wspólną przyszłość. Eileen widziała siebie w białej sukni, wyobrażała huczne wesele, potem narodziny dzieci (obowiązkowo trójka: dwóch chłopców i dziewczynka). Po licencjacie Robert zaproponował, aby odłożyli ślub. Eileen miała przerwać studia, pójść do pracy i utrzymywać go, aż zrobi dyplom. Pobiorą się, kiedy przyjdzie odpowiedni moment.

Westchnęła ciężko i wtuliła twarz w poduszkę.

- Niestety, właściwa chwila nie nadeszła nigdy - mruknęła ironicznie, wspominając wyraz kompletnego zaskoczenia, który pojawił się na twarzy narzeczonego, gdy pewnego wieczoru przyszła wcześniej z pracy.

Dziewczyna, na której leżał, również nie kryła zdumie-

nia, lecz tylko mina Roberta utkwiła Eileen w pamięci. Ani śladu rozpaczy, żalu czy poczucia winy. Tylko złość. Był na nią wściekły, bo powinna siedzieć w pracy i zaraabiać na jego potrzeby, a nie nachodzić go w domu, kiedy wolał być... sam na sam z inną kobietą.

Pospiesznie zebrała trochę ciuchów i wyniosła się stamtąd, zostawiając Roberta i jego pannę własnemu losowi. Od tej pory nie odważyła się nikomu zaufać, nikomu nie oddała serca. Przysięgła sobie, że po raz ostatni zrobiła z siebie idiotkę.

- Teraz jest inaczej - przekonywała głośno samą sobie. - Moje serce nie ma z tym nic wspólnego. To sprawa hormonów.

Te słowa odbiły się echem w pustym pokoju. Gdy wróciły do niej, przyjęła je z niedowierzaniem, ale nie traciła nadziei. Przekona się do tej argumentacji. Trzeba tylko jak najczęściej przypominać sobie, że związek z Rickiem jest tymczasowy.

- No właśnie - mruknęła, wstając z kanapy. - Tak będzie najlepiej.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Dzwoniła twoja babcia - oznajmiła w poniedziałek rano Eileen, wsuwając głowę do gabinetu Ricka.

- Która linia? - spytał i podniósł głowę znad papierów.

- Żadna. Powiedziałam, że dzwoniła Czas przeszły. - Stanęła w drzwiach i oparła się ramieniem o framugę. - Kazała mi przekazać, że nie ma czasu z tobą rozmawiać, bo właśnie postanowiła wybrać się na wycieczkę śladem najpiękniejszych jesiennych krajobrazów. Wkrótce wyjeżdża. Bilet na pociąg zarezerwowała, a teraz czekają rundka po sklepach i skompletowanie odpowiedniej garderoby.

Rick uśmiechnął się w milczeniu. Uznał, że babcia nigdy się nie zmieni. Dla niej życie było jedną wielką przygodą. Nie lubiła planować. Jej zdaniem wszelkie harmonogramy zabijają radość życia. Dlatego jakiś czas temu zaskoczyła wszystkich i niespodziewanie pojechała oglądać start kosmicznego wahadłowca, a teraz równie nieoczekiwanie zapragnęła podziwiać jesienne krajobrazy.

- Kiedy wróci? - zapytał Rick.

Eileen wybuchnęła śmiechem.

- Nie ma pojęcia. Oznajmiła, że spróbuje namówić moją babcię, aby z nią pojechała.

- Uda jej się?

- Ależ skąd! - Eileen podeszła do jego biurka. - Gdy babunia wybiera się w podróż, miesiąc wcześniej idzie do automobilklubu po wszystkie istniejące mapy samochodowe i godzinami układa marszrutę. Jej zdaniem bez tego najatrakcyjniejszy wyjazd traci połowę uroku.

- Twoja babcia jest zapobiegliwa i przewidująca, a moja uwielbia improwizować i cieszyć się chwilą - mruknął. Rozparty w wygodnym fotelu obserwował ją uważnie. - Nie sądzisz, że zamieniono nas po urodzeniu?

- Kto wie? Kiedyś też starałam się wszystko planować, ale dałam za wygraną.

- Jak się spało? - niespodziewanie zmienił temat. Powiedział to głosem niższym i cieplejszym niż poprzednio, więc miły dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Świetnie. A ty wypocząłeś?

- Doskonale.

- Na szczęście.

- No pewnie - przytaknął, spoglądając wymownie w zielone oczy, jakby chciał bez słów dać jej coś do zrozumienia. - Brakowało mi...

Eileen wstrzymała oddech.

- Śniadania w łóżku - dokończył.

- Mnie również.

- Ale z tobą - oddał, podnosząc się z krzesła i obchodząc biurko. - To nie była jedyna tęsknota. Na przykład nie słyszałem w ciemnościach twójgo oddechu.

- Rick...

- Nie było cię przy mnie na wyciągnięcie ręki, chętniej i gotowej.

- Jasne. - Eileen westchnęła głęboko. - Mnie również brakowało twojego dotknięcia i zachęty.

- I co zrobimy?

- Na razie przejdziemy nad tym do porządku dziennego, prawda?

- Naprawdę sobie tego życzysz? - zapytał.

- To zależy. Jakie są twoje życzenia?

Wzięła ją za rękę i przyciągnął do siebie. Nie potrzebowała innej odpowiedzi.

- Wszystko jasne. - Zdawało jej się, że płonie jak w gorączce, i zapewne tak było, bo usta miała spieczone.

- Po pracy. U mnie?

- Po pracy - mruknął, odsunął się niechętnie i wrócił za biurko. - A teraz daj mi teczkę Bakera.

- Jasne - powiedziała i odwróciła się. Idąc ku drzwiom, czuła na sobie jego spojrzenie.

Dwie godziny później Rick siedział w gabinecie z klientem. Na biurku Eileen rozdzwonił się telefon.

- Hawkins. Doradztwo finansowe, słucham.

- Witaj, kochanie.

- Cześć, babciu. - Uśmiechnęła się do słuchawki.

- Co u ciebie?

Eileen otworzyła usta, ale szybko je zamknęła, zastanawiając się nad odpowiedzią. No właśnie... Jak opisać krótko, co się tutaj dzieje?

- Wszystko w porządku - odparła wymijająco.

Gdyby babcia usłyszała całą prawdę, byłaby wstrząśnięta. Natychmiast kazałaby jej nałożyć Włosienicę i odbyć należną pokutę.

- Znakomicie. Od razu wiedziałam, że dasz sobie radę, jeśli tylko zdołasz pozbyć się dziecinnych uprzedzeń wobec Ricka.

- Babciu, daruj sobie tę psychoanalizę.

- Kochanie, wiem, co mówię. Sporo czytałam na ten temat. Powinnaś zwrócić do moich poradników. Na prawdę dobrze by ci to zrobiło. Jesteś ofiarą własnych lęków...

Eileen wróciła do przepisywania dokumentów dla Ricka, przytrzymując słuchawkę ramieniem.

- Wypraszam sobie. Nie mam żadnych lęków, ale dziękuję, że się o mnie troszczysz.

- Związkofobom płci obojga trudno się przyznać do swych przypadłości. Udują, że wszystko jest w porządku.

Zaskoczona tą woltą Eileen otworzyła szeroko oczy, ale natychmiast zacisnęła powieki z obawy, że przyjdzie jej znów szukać soczewki kontaktowej.

- Autorjednego z poradników twierdzi, że tacy ludzie z obawy przed odrzuceniem celowo unikają uczuciowego ryzyka.

- Ten twój psychoanalityk może mnie pocałować...

- Eileen!

- Spoko, babuniu - odparła Eileen przeproszającym tonem. Przypomniała sobie, że jest w pracy, i dodała ciżej: - Kochanie, przestań bawić się w terapeutę, a poza

tym zrozum wreszcie, że moja osobowość jest w idealnym porządku i nie wymaga specjalistycznej pomocy.

- Naturalnie! Wyjdiesz za męża, zostaniesz mamą i wszystkie problemy znikną, jak ręką odjął - upierała się babcia. Eileen bezradnie zwiesiła głowę. Słyszała to od lat.

- Nie wszyscy, marzą o życiu rodzinnym. Niektórzy inaczej widzą swoją przyszłość.

- Ale ty do nich nie należysz. Wiem, że czujesz się samotna. Przecież widzę, jak patrzysz na Bridie, jej męża i dzieci. Kiedy bierzesz na ręce niemowlaka, masz łzy w oczach.

Eileen westchnęła przeciągle. Racja. Naprawdę czuła się nieco osamotniona, ale kto dziś nie ma takiego wrażenia? Czy ta odrobina melancholii czyniła z niej potencjalną czytelniczkę poradników psychologicznych i skazywała na nieuniknioną psychoanalizę? Ależ skąd! W ten sposób dowodziła jedynie, że nic, co ludzkie, nie jest jej obce. Rzeczywiście zazdrościła trochę Bridie rodzinnego szczęścia, ale sama również czuła się szczęśliwa. Żyła tak, jak chciała.

Skoro tak żywo protestujesz, może jednak coś w tym jest, przemknęło jej przez myśl, zanim się zreflektowała.

- Babuniu, muszę kończyć - rzuciła pospiesznie. - Rick czegoś ode mnie potrzebuje. - W duchu błagała niebiosy, żeby jej wybaczyły to drobne kłamstwo, ponad wszelką wątpliwość zanotowane w rejestrach jej przewinień. Oszukiwanie uroczej starszej pani z pewnością stanowiło poważne wykroczenie.

- Tak, tak, dziecinko. Nie będę ci zatem przeszkadzać - oznajmiła babcia tonem świadczącym, że niechętnie kończy rozmowę.

- Później do ciebie zadzwonię.

- Lepiej przyjdź na kolację.

- Ja... Wybacz, nie mogę - odparła Eileen. - Ale na pewno zadzwonię.

- Naturalnie, uważam jednak, że powinnaś...

- Babuniu, muszę lecieć: Naprawdę. - Eileen pochyliła się nad biurkiem, zdecydowana natychmiast odłożyć słuchawkę. Babunia nadal perorowała. - Przepraszam, robota czeka. Pa, kochanie.

Szybko przerwała połączenie, świadoma, że później dostanie za to burę. Usiadła wygodnie w fotelu, żeby przemyśleć uwagi babci. Było w nich sporo prawdy. I co z tego? Każdy ma jakieś problemy. Mimo wszystko Eileen czuła się spełniona i lubiła swoje życie: pusty dom, czas dla siebie, ciszę.

Czyżby? W takim razie dlaczego tak się cieszyła, że Rick przyjdzie do niej po pracy?

Spory dom przy plaży spełnił wszystkie oczekiwania Ricka, który tak właśnie wyobrażał sobie lokum Eileen. Drewniany budynek na kamiennej podmurówce miał co najmniej pół wieku. Ricka zachwyciła urocza weranda z kunsztownie rzeźbioną balustradą.

Zaparkował przed domem, wysiadł z luksusowego auta i długo stał, przyglądając się fasadzie. W pobliżu szumiało



morze, wokół roiło się od późnych kwiatów oraz drzew z liśćmi przebarwionymi najesienne kolory. Budynek pomalowany na żółto i ozdobiony zielonymi detalami sprawiał niezwykle miłe wrażenie. Wiklinowe meble na obszernej werandzie oświetlonej blaskiem lamp o różowych kloszach zapraszały do odpoczynku. Rick uśmiechnął się. Eileen nie zadowolili banalne mleczne kule. Barwy tojej żywioł.

Sięgnął do auta po butelkę schłodzonego chardonnay i ruszył ścieżką wśród przekwitłych różanych krzewów. Mimo woli zastanawiał się, jakiego koloru były róże. Nic straconego, dowiem się latem, pomyślał i natychmiast skarcił się w duchu. Jasne, że za rok on i Eileen przestaną już być parą. Nie zamierzał tak długo tego ciągnąć.

Zadowolony z siebie wszedł po pięciu betonowych schodkach pomalowanych w orientalne wzory. Z daleka wyglądały jak przykryte spłowiałym perskim dywanem. Znakomity pomysł. Rick zastanawiał się, skąd jej to przyszło do głowy. Komu by się chciało wymalować skomplikowane desenie rodem z krajów Orientu na betonowych stopniach? Znał tylko jedną taką wariatkę.

Drzwi wejściowe otworzyły się i Eileen stanęła na progu. Rozpuszczone włosy rudozłotymi falami opadały na ramiona. Miała na sobie biały top z cieniutkimi ramiączkami i spłowiałe dzinsowe szorty. Była boso. Rick w niemym zachwycie podziwiał niewiarygodnie długie nogi. Natychmiast zapomniał o urokach drewnianego domu i niezwykłych schodach pomalowanych we wzory. Prze-

stał także myśleć o nowym kliencie, z którym jadł dzisiaj obiad. Machinalnie ścisnął w rękę zapomnianą butelkę wina. Oniemiał, wpatrując się w Eileen jak zaczarowany. Całkiem zgłupiał najej widok i myślał tylko o jednym.

- Cześć.

Gdy uśmiechnęła się na powitanie, po prostu dech zaparto mu w piersiach, a krew coraz pręcej pulsowała w żyłach.

- Witaj - odparł niepewnie.

- To dla mnie? - spytała, wskazując butelkę wina.

- Aha.

- Wypijesz teraz kieliszek? - zapytała, odsuwając się na bok, żeby go przepuścić.

- Nie chce mi się pić - mruknął, przepuścił ją i wszedł do domu, zamykając za sobą drzwi.

- Mnie również - przyznała, biorąc od niego butelkę. Natychmiast odłożyła ją na najbliższy fotel.

- Dobra nowina - odparł cicho i przytulił ją tak mocno, jakby od siły tego uścisku zależała cała jego przyszłość. W tej chwili wydawało mu się, że naprawdę tak jest.

Wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Rozchyliła wargi, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że nie ma na co czekać. Posłuchał od razu, a ich pocałunki stały się zachłanne i namiętne. Od razu ogarnęło ją cudowne oszołomienie, które tak dobrze poznała w jego ramionach.

Gdy uniósł głowę, oczy miał zamglone. Eileen także parzyła na niego szklistym, niezbyt przytomnym wzrokiem.

- Sypialnia? - spytał krótko.

Zdezorientowana oblizała wargi i zamrugała.

- Tam. - Ręką wskazała kierunek.

- Idziemy - mruknął, objął ją w talii i przerzucił ją sobie przez ramię.

- Hej! - Oparta rękami na jego barkach uniosła się lekko. - Zachowujesz się niczym jaskiniowiec!

- Tak będzie szybciej - wyjaśnił rzeczowo.

- W takim razie zgoda. - Ten argument trafił jej do przekonania, więc pozwoliła się nieść w głąb korytarza.

- Rozumiem, że masz powody, aby się spieszyć.

Szedł długimi krokami. Zerknął mimochodem na jedyną otwartą drzwi. Za nimi dostrzegł zielone kafelki i zasłone prysznicową w barwne papugi. Fajna łazienka.

- Skręć w lewo - poinstruowała go Eileen, gdy zwołał przed rozwidleniem korytarza.

Natychmiast zrobił, co kazała.

- Nie tu - skarciła go, unosząc się znowu na rękach.

- Moje lewo. Cholera! Trudno pilotować, gdy jest się tyłem do kierunku marszu.

- Lubisz dawać instrukcje, co? Pamiętam, co się działo, gdy jechaliśmy do Hammond Inn. Ciagle mnie pouczałaś.

- Chcę tylko pomóc!

Dotarli wreszcie do sypialni z ogromnym łóżem przykrytym biało-błękitną narzutą. Zafascynowany Rick nie zwracał uwagi na inne sprzęty. Smuga światła zapalanej nocnej lampki padała na posłanie. Rick pochylił się i posadził na nim Eileen, która wybuchnęła śmiechem i podskoczyła kilka razy.

- Nie ma to jak przystojny jaskiniowiec! - oznajmiła, kładąc się na łóżku i przeciągając leniwie jak kotka.

- Przyjemnie zostać docenionym.

- Ach tak.

Patrzyła na niego oczyma zamglonymi pożądaniem. Wyglądał... inaczej. W czarnym swetrze i ciemnoniebieskich dżinsach wydawał się przystępniejszy niż zazwyczaj. Do tej pory spotykała się z nim wyłącznie przy pracy. Nawet wspólny wyjazd do Hammond Inn miał taki cel. Klasyczne garnitury noszone przez niego na co dzień sprawiały wrażenie, jakby zawsze był tak ubrany, gotowy prowadzić finansowe negocjacje z klientami. Służyły mu również do trzymania bliźnich na dystans. Dziś przed wizytą u Eileen wpadł do domu, żeby się przebrać. Doceniła to, ale marzyła tylko o tym, żeby jak najszybciej wyskoczył z ciuchów.

Bardzo szybko spełnił to nie wypowiedziane życzenie. Ukłękł obok niej na łóżku, przez chwilę patrzył bez słowa, a potem zaczął ją rozbierać, zasypując gradem pocałunków i pieszczot.

- Tęskniłem za tobą - wyznał niespodziewanie, spoglądając w zielone oczy.

- Tak - szepnęła czule i dotknęła jego policzka. - Wiem. Mnie również ciebie brakowało.

- Co oznacza...

- Żebym toja wiedziała! - odparła urywanym głosem.

- Jednego jestem pewna: chcę ciebie, i to bardzo.

- Z ust mi to wyjął, kochanie - odparł z porozumie-

wawczym uśmiechem. Gdy ujrzała jego pogodną twarz, zrobiło jej się ciepło na sercu.

Tym razem kochali się czule, bez pośpiechu i zapalczywości. Chwilami dowcipkowali, kpiąc z samych siebie, to znów milkli, ogarnięci gwałtowną żądzą. Eileen wyczuwała intuicyjnie, że łączy ich coś więcej niż tylko chwilowe szaleństwo zmysłów, ale nie potrafiła tego określić. W namiętnym zapamiętaniu krzyczała na cały głos imię Ricka. Zatraciła się w cudownych odczuciach. Razem zapadli w miłosną nirwanę.

Po dwóch dniach znów byli razem w jej sypialni. Niemal wszystkie godziny wolne od pracy spędzali w łóżku. Rodziło się między nimi prawdziwe, głębokie uczucie, lecz oboje nie mieli odwagi nazwać go po imieniu ani porozmawiać o tym, co się z nimi dzieje. Zamiast tego żyli chwilą, oszołomieni nadmiarem zmysłowych wrażeń. Na oślep rzucili się w wir miłosnego uniesienia i wynieśli z tego więcej, niż oczekiwali... więcej, niż śmieli żądać.

Rick martwił się, ponieważ byli sobie nazbyt bliscy. Miał wrażenie, jakby uzależnił się od Eileen. Stale go do niej ciągnęło. Głos rozsądku podpowiadał, że trzeba zwiększyć dystans, kontrolować emocje, zapanować nad tą skłonnością. Powinien zachować spokój i nie dać się omamić.

Ale nie zdobył się na to.

Na razie nie był w stanie tego zrobić.

Rzecz jasna, za jakiś czas znajdzie w sobie siłę, żeby

zerwać. Nie miał innego wyjścia. Cokolwiek się stanie, nie mógł pozwolić, żeby kobieta znów nim zawładnęła i doprowadziła go na skraj rozpacz. Ale nie ma pośpiechu. Wszystko w swoim czasie. Na razie trzeba cieszyć się chwilą. Można odwlec trochę ostateczne rozstanie.

Gdy kochali się tego wieczoru, jak urzeczony patrzył w szeroko otwarte zielone oczy, słyszał cichy głos szepczący jego imię, czuł drżenie przebiegające ciało Eileen. Poddał się rozkoszy, której tak bardzo pragnął.

Po kilku minutach odsunął się i opadł bez sił na posłanie.

- Cholera jasna! - zaklął nagle i jęknął.

Eileen jeszcze nie ochłonęła po niezwykłych odczuciach. Serce biło jej w szalonym rytmie. Z błogim uśmiechem odwróciła głowę, żeby na niego popatrzeć.

- Cóż to się stało, mój drogi? - zagadnęła żartobliwie.

- Kondom pękł - mruknął przeproszającym tonem i spojrzął jej w oczy.

- Aha. - Mimo panującego w sypialni półmroku spostrzegł, że pobladła.

- Mam nadzieję, że bierzesz pigułki. Bierzesz, prawda? - dopytywał się, przestraszony nie na żarty.

- Nie będę cię okłamywać. Zresztą co by to zmieniło?

- Cholera jasna!

- Czemu się złościysz? Od dawna z nikim się nie spotykam. Minęło dobrych parę lat. Byłeś pierwszy po długiej przerwie. - Naciągnęła kołdrę i przykryła ich oboje. - Po co miałam zażywać pigułki, skoro z nikim nie spałam?

- Nie denerwuj się. - Pogłaskała ją po głowie, zacisnął zęby i mimo zakłopotania spytał nieco spokojniej: - Jak u ciebie z kobiecymi przypadłościami? Kiedy ostatnio... No wiesz...

Eileen popatrzyła na sufit i usiłowała się skupić, co nie było łatwe. Nie dawała za wygraną. Raz i drugi policzyła dni. Wynik był zaskakujący. Zaniepokojona przeanalizowała znowu swoje rachunki.

Długo wahała się, szukając odpowiednich słów, bo miała dla Ricka złe nowiny.

- Trzy dni spóźnienia - mruknęła w końcu.
- Ach tak.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- De czasu to potrwa?

Eileen popatrzyła groźnie na Ricka.

- Trzy minuty. Wytrzymasz?

Kilka razy odpowiadała już na to pytanie, lecz najwyraźniej informacja jeszcze do niego nie dotarła. Można jednak zrozumieć, dlaczego był rozkojarzony. Sama również bardzo przeżywała tę chwilę. Na dobrą sprawę nie wiedziała, co czuje. Raz ogarniała ją panika, to znów niecierpliwe oczekiwanie albo niemal radosne podniecenie, lecz do tych odczuć wolała się nie przyznawać. Hołubiłaje w sercu. Co to komu szkodzi? Nikt przecież nie potrafi czytać w myślach i sercu, więc wszystkie zmiany nastroju pozostaną jej słodką tajemnicą.

Lada chwila miała się dowiedzieć, czy będzie mamą. Niesamowite! Gdy zastała Roberta w niedwuznacznej sytuacji z jego lalunią, przestała marzyć o własnych dzieciach. Była idealną ciocią, a rozpieszczanie pociech Bridie sprawiało jej ogromną przyjemność. Dawno temu powiedziała sobie, że to jej musi wystarczyć. Ale kto wie...

Odetchnęła głęboko raz i drugi, a potem oznajmiła.

- Odliczamy trzy minuty.



- Najdłuższe w moim życiu - wymamrotał Rick, spacerując niespokojnie po korytarzu przylegającym do łazienki.

- Przestań się ciskać. To niczego nie przyspieszy - skarciła go Eileen.

Przystanął i spojrzał na nią przepraszająco.

- Wybacz. Po prostu...

- Tak, wiem - odparła pojednawczym tonem.

Stała w drzwiach łazienki oparta ramieniem o framugę i zerkała na test ciążowy pozostawiony obok umywalki. Wkrótce się dowie... A kiedy wszystko stanie się jasne... przyjdzie czas na wielki strach. I na podjęcie decyzji. Ciekawe, jak zareaguje Rick. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby zemdłał, malowniczo rozpostarty na podłodze.

To chyba do niego niepodobne, uznała po chwili namysłu. Chodził z kąta w kąt i tak mocno przegarniał czuprynę palcami, jakby w desperacji rwał sobie włosy z głowy. Kiedy powiedziała mu o swoich wątpliwościach, mógł natychmiast z nią zerwać, powiedzieć, żeby sama uporała się z problemem, i zniknąć z jej życia. Ale tego nie zrobił. Gdy tylko okazało się, że mogą mieć kłopoty, ubrał się i pojechał z nią do apteki po test ciążowy. Teraz oboje czekali na wynik.

Domyślała się, rzecz jasna, o jaki wynik zanoszą modły. Najwyraźniej nie miał ochoty zostać tatusiem.

Zauważył, że mu się przygląda, i podszedł bliżej.

- Mam nauczkę - powiedział z uśmiechem. - Na stacji benzynowej należy kupować paliwo, a nie kondomy. Powiniennem szukać apteki.

- Przestańmy się tym zadreczać - poradziła Eileen.  
- Trudno, stało się.

- Wiem - przytaknął i oparty plecami o ścianę zaglą-  
dał do łazienki.

Gdy zadzwonił stoper nastawiony na trzy minuty, oboje  
aż podskoczyli. Rick przepuścił Eileen w drzwiach  
i wszedł za nią do łazienki. Natychmiast wyłączyła stoper,  
bo przenikliwy dźwięk działał jej na nerwy. Sięgnęła po  
niewielkie pudełko ostrożnie, jakby miało wybuchnąć jej  
w rękę, i obejrzała się na stojącego za plecami Ricka.

- Sprawdzimy razem?

- Pewnie.

Jednocześnie popatrzyli na okienko. Eileen zobaczyła  
maleńki różowy plusik. Westchnęła głęboko i usłyszała  
świsł wciąganego powietrza. Odruchowo zacisnęła palce  
na plastikowym testerze.

- Różowy... To pewnie oznacza, że będzie dziewczynka

Rick siedział na krześle przy kuchennym stoliku i wodził  
spojrzeniem za Eileen. Od dłuższego czasu krzątała się po  
niewielkiej kuchni. Najpierw zaparzyła kawę, a teraz posta-  
wiła na blacie talerz z domowymi ciasteczkami czekolado-  
wymi. Od kwadransa ani słowem się do niego nie odezwała.  
Jej milczenie działało mu na nerwy. Z drugiej strony jednak  
nie dziwił się, że straciła ochotę do rozmowy. Może to i le-  
piej? Gdyby było inaczej, nie wiedziałaby, co jej powiedzieć.  
Miał świadomość, że przeprosiny są nie na miejscu, ale nie  
była to również odpowiednia pora na gratulacje.

Eileen usiadła wreszcie naprzeciw niego i wlała kawę do kubków. Wzięła ciastko, ale zamiast jeść, nerwowo skubała je palcami. Okruchy sypały się na blat.

Rick wyciągnął ręce i dotknął jej dłoni.

- Musimy pogadać - oznajmił z naciskiem.

Gdy podniosła wzrok, daremnie próbował wyczytać coś z oczu zielonych jak trawa na łące. Ich wyraz ciągle się zmieniał.

- Słuchaj, Rick - odparła po długim namyśle. - Wiem, że chcesz mi pomóc, ale teraz nie mam ochoty na żadne rozmowy.

- Trzeba postanowić, co i jak - nalegał.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Dziś wieczorem nie zamierzam podejmować żadnych decyzji.

- Eileen, sprawa jest poważna!

- Naprawdę? - Odgryzła kawałek ciastka, przeżuła go i połknęła. - Chcesz powiedzieć, że ciąża to nie żarty? Coś podobnego! Myślałam, że czeka mnie dobra zabawa i kupa śmiechu. Słuchaj, trzeba to rozgłosić. Dzwonię do telewizji!

- Przestań się zgrywać.

- Wcale tego nie robię. - Zjadła ciastko i sięgnęła po następne.

- Na problemy najlepsze słodyczne?

- Jasne. Zwłaszcza ciasteczka czekoladowe. Prawie zawsze pomagają.

- Nie tym razem.

- Racja. Właśnie tak powiedziałam: prawie zawsze. Spróbuj, są pyszne.

Zniecierpliwiony Rick zerwał się z krzesła tak gwałtownie, że metalowe nogi z piskiem przejechały po wykładzinie. Okrążył stół, poszedł do Eileen, chwycił ją za rękę i zmusił, żeby wstała.

Z bliska zobaczył, że oczy ma podkrążone, i rozczulił się natychmiast. Gdyby nie przysługa, którą mu oddała, gdyby nie to cholerne zastępstwo, byłaby teraz w innej sytuacji. Nigdy by się nie spotkali, a kochane biedactwo uniknęłoby wypadki.

Była w ciąży. To jego dziecko.

Kiedy uświadomił sobie, że być może zostanie ojcem, ogarnęło go dziwne rozrzewnienie. Dziecko... Tego nie oczekiwał, odkąd była żona od niego odeszła. Zaraz po ślubie wmówił sobie, że kocha Alison, że oboje stworzą prawdziwą rodzinę. Po kilku miesiącach odkrył, że dla niej liczy się tylko stanjego konta, a nie szczęśliwa przyszłość.

Kiedy odeszła, zapomniał o marzeniach. Rzucił się w wir pracy, zarobił mnóstwo pieniędzy. Firma stała się całym jego życiem. Samotność trochę mu dokuczała, ale w swojej branży był na topie, więc nie czuł się pokrzywdzony przez los. Miał przynajmniej gwarancję, że nie będzie patrzył bezradnie, jak porzuca go następna kobieta.

Nagle wszystko się zmieniło. Za jego sprawą Eileen nosiła w sobie maleńką istotkę. Mniejsza z tym, czy chcieli powołać ją do życia. Pojawiła się i musiał uwzględnić ten fakt. Nie zamierzał teraz odejść. W dzieciństwie został

porzucony przez rodziców, więc byłby łajdakiem, gdyby taką samą krzywdę wyrządził swojemu maleństwu.

- Eileen - zaczęła, spoglądając w zielone oczy, które nie dawały mu spokoju, odkąd przed tygodniem weszła do jego biura - wyjdź za mnie.

Zamrugała, pokręciła głową i przyjrzała mu się nieufnie.

- Proszę?

- Dobrze słyszałaś.

- Tak mi się wydaje, ale w pierwszej chwili odniosłam wrażenie, że odmienny stan rozmiękczył mi mózg. - Próbowала odsunąć się od niego, ale nie rozluźnił uścisku. - Jeszcze nie przyszedłeś do siebie. Kiedy zaczniesz myśleć racjonalnie...

- I kto to mówi? - przerwał, wybuchając śmiechem, i puścił ją wreszcie. - Chcesz mnie uczyć racjonalnego myślenia?

- Ktoś musi. - Eileen uniosła rękę i odgarnęła włosy spadające na twarz.

Czuła się jak w pułapce: za plecami ściana, po bokach lodówka i stół, z przodu Rick. Nie mogła złapać tchu. Tłumione emocje i poczucie zagrożenia sprawiły, że miała łzy w oczach, choć nie była płaką.

Potrzebowała trochę czasu, żeby wszystko spokojnie przemyśleć i uporać się z wątpliwościami dręczącymi serce i umysł.

Była w ciąży. Rosło w niej dziecko. Żywa, rozwijająca się istotka. Niesamowite!

- Mam za ciebie wyjść? - powtórzyła, odepchnęła go

lekką i szybko minęła. - Wyluzuj, Puck. Dopiero od dziesięciu minut wiem, że jestem w odmiennym stanie, a ty już myślisz o ślubie?

- Tak ma być.

- Owszem, w filmach z lat pięćdziesiątych - rzuciła, oglądając się przez ramię. Poszła do salonu. Gdy Rick pospieszył za nią, odniosła wrażenie, że duży pokój jest za ciasny dla nich dwojga.

- Eileen, przecież to moje dziecko. - Chwytał ją za rękę i zmusił, żeby się odwróciła.

- Zrozum, jest za wcześnie na takie rozmowy.

- Jasne - przyznał i zrobił krok do tyłu, jakby ostatkiem powstrzymywał się, żeby jej znowu nie dotknąć.

- Masz rację. - Zamilkł na chwilę i czekał, aż popatrzy mu w oczy. Dopiero wtedy dodał: - Ale muszę być pewny, że porozmawiasz ze mną, nim coś postanowisz.

Twarz miał skurczoną, jakby zboleła, więc domyśliła się, że jest równie przejęty i zagubiony jak ona. Z uśmiechem wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

- Obiecuję. Tylko... Daj mi trochę czasu, dobrze?

Piłka tenisowa ze świstem minęła ucho współgracza, który aż kucnął ze strachu. Rick skrzywił twarz.

- Wybacz - mruknął skruszony.

- Stary, kogo chcesz wykończyć: mnie czy tę Bogu ducha winną piłkę?

- Nic do was nie mam - zapewnił, podchodząc do

krzesła, na którym zostawił ręcznik i małą butelkę wody mineralnej.

Jak co dzień przyszedł na kort, żeby pograć w tenisa, lecz marnie mu dzisiaj szło. Daremnie łudził się, że podczas absorbującej rozgrywki zapomni o swoich problemach. Jak zwykle liczył na zwycięstwo, a tymczasem zamiast przewagi miał już na swoim koncie sześć oddanych punktów i zanosiło się na utratę kolejnych.

Wytarł twarz, zarzucił ręcznik na ramię i obserwował zbliżającego się przyjaciela. Podczas studiów dzielił z nim pokój w akademiku. Jakoś się dogadywali, choć byli zupełnie różni. Rick zawsze pasjonował się notowaniami giełdowymi, a Mike pozostał wierny tradycyjnym motocyklom, które składał od lat dla bogatych próżniaków. Zbił na tym fortunę, ale zamiast oddawać się słodkiej beczynności nadal sam montował potężne maszyny w warsztacie, który nazywał swoją norą.

- Co cię gryzie, kolego? - zapytał, sięgając po butelkę z wodą.

- Nic.

- Pewnie. - Mike przez chwilę pił łąpczywie, a potem zakręcił butelkę. - Grałeś fatalnie, jak ostatni patałach. To do ciebie niepodobne. Na pewno masz jakiś problem.

Rick długo patrzył na przyjaciela.

- Poprosiłem Eileen Ryan, żeby za mnie wyszła.

Jego wyznanie nie zrobiło na Mike'u najmniejszego wrażenia. Czyżby nie słyszał, co się do niego mówi?

Wkrótce okazało się jednak, że potrzebował trochę czasu, żeby wiadomość do niego dotarła.

- Odbiło ci? - zapytał.

- Chyba tak - wymamrotał Rick.

- Po rozwodzie z Alison przysięgałeś, że nie ożenisz się powtórnie. Dostałeś od twojej byłej niezłą szkołę.

- Wszystko się zgadza.

Mike parsknął śmiechem i zarzucił ręcznik na szyję.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że oświadczyły zwykle prowadzą do ślubu. Jak pogodzisz te dwie sprzeczności?

- Eileen jest w ciąży.

Mike wybałuszył niebieskie oczy i potarł dłonią policzek.

- Jesteś pewny, że to twoje dziecko?

Taka wątpliwość w ogóle nie przyszła Rickowi do głowy. Eileen była uosobieniem prawości i uczciwości. Takie kłamstwo nie przeszłoby jej przez usta.

- Najzupełniej.

Mike kiwnął głową.

- Urodzi?

- Nie wiem.

Rick odwrócił głowę i długo przyglądał się graczom biegnącym po sąsiednich kortach. Do tej pory nie marzył o ojcostwie, lecz odkąd wiedział, że jego dziecko zostało powołane do istnienia, nie mógł znieść myśli o jego utracie. Obawiał się, że jeśli Eileen nie zechce być matką, żadne argumenty nie przekonają jej do zmiany decyzji. Ogarnięty poczuciem bezradności zacisnął dłonie w pięści.

Nie chciał żony, ale pragnął mieć dziecko.



Pod koniec tygodnia Rick zaciskał zęby, ostatkiem sił powstrzymując się od zrobienia awantury. Przez kilka dni Eileen go unikała i zachowywała się bardzo oficjalnie. Oczywiście każdego ranka punktualnie przychodziła do pracy. Była rzeczowa i uprzejma, pracowała z wyjątkową pilnością i prawie nie zwracała na niego uwagi. Zbywała go, ilekroć zaczynał rozmowę o prywatnych sprawach: o dziecku, o nich. Interesowała ją wyłącznie praca.

Uznał, że trzeba dać jej czas. Nie chciał wywierać presji, więc ukrywał zniecierpliwienie, robiąc dobrą minę do złej gry, ale nie mógł dłużej czekać, bo dziś ostami raz przyszła do jego biura. W poniedziałek miała się tu zjawić sekretarka znaleziona przez agencję, natomiast Eileen wróci do swojej kwiaciarni. Żyli w odmiennych światach, których nic nie łączyło, więc równie dobrze mogłyby osiąść na Marsie.

Teraz albo nigdy! Zerwał się na równe nogi, obszedł biurko i stojąc w otwartych drzwiach rozejrzał się po sekretariacie. Eileen przepracowała u niego zaledwie dwa tygodnie, ale zdążyła odcisnąć tu swoje piętno. Na jej biurku w okrągłym szklanym wazonie stały pachnące kwiaty. Proszą, granatową kanapę ozdobiły barwne poduszki, a na ścianie obok regału ze skoroszytami wisiała ładna akwarelka w kremowej ramce. Miłe drobiazgi sprawiły, że wewnątrz nabrało lekkości i uroku, a klienci od razu czuli, że są tu mile widziani.

Eileen samą swoją obecnością zmieniła nie tylko jego biuro, lecz i życie.

Do niedawna lubił samotne popołudnia. Z zapałem przygotowywał się wtedy do kolejnego pracowitego dnia. Odkąd w jego życiu pojawiła się Eileen, stale była obecna w jego myślach. Nie sypiał po nocach, bo wciąż miał ją przed oczyma. Bez niej łóżko wydawało się puste i zimne, a cisza panująca w mieszkaniu niemal ogłuszająca. Do tej pory nie zależało mu na rodzinie, a teraz zamartwiał się o nienarodzone dziecko, nie większe od ziarna fasolki.

Popatrzył na Eileen. Siedziała odwrócona do niego plecami i rozmawiała przez telefon. Blask poranka wlewający się przez duże okna otaczał ją świetlistą mgiełką. Wyglądała jak senne marzenie, ale Rick wiedział ponad wszelką wątpliwość, że jest rzeczywista.

- Dobrze, Paula. W poniedziałek rano spotkamy się w kwaciarni - powiedziała Eileen.

Tak, od przyszłego tygodnia już jej tu nie będzie, pomyślał zasmucony Rick. Jak skłoni ją wtedy do poważnej rozmowy? Jak nie dopuści, żeby odsunęła się od niego razem z dzieckiem?

- Wspaniała nowina! - zawołała nagle Eileen. - Ślub małej Baker? Rewelacja! - Uradowana wybuchnęła śmiechem, który w jego uszach zabrzmiał jak najpiękniejsza muzyka. Obróciła fotel, żeby wziąć ołówek, i spostrzegła stojącego w drzwiach Ricka. - Tak, Paula. Muszę kończyć. Później do ciebie zadzwonię. - Uśmiechnęła się, unikając jego wzroku. - Tak, na pewno. Dobrze. Cześć.

- Kim jest Paula? - zapytał, gdy odłożyła słuchawkę.

- Kierowniczką mojej kwaciarni.

Nic go nie obchodziły informacje dotyczące zatrudnianego przez nią personelu, ale ciągnął ten wątek, bo po raz pierwszy od kilku dni rozmawiali jak normalni ludzie.

- Nie radzi sobie?

- Wręcz przeciwnie - zaprotestowała, obracając fotel. Szukała czegoś chaotycznie na swoim biurku. Wreszcie sięgnęła do szuflady po czekoladki zostawione przez Margot. Odwinęła jedną z papierka, wrzuciła do ust i pogryzła starannie. Po chwili dodała: - Przed chwilą usłyszałam dobre nowiny. Mamy przygotować dekoracje kwiatowe na uroczysty ślub i huczne wesele.

- Gratuluję.

- Dzięki. - Eileen zmięta w palcach sreberko po czekoladce.

Rick irytował się, bo nadal unikał jego wzroku.

- Traktujesz mnie jak powietrze, a przecież jestem tu szefem - wybuchnął w końcu.

Zerknęła na niego, a potem znów odwróciła wzrok.

- Nieprawda. Ja tylko zachowuję dystans. To zupełnie inna sytuacja.

- Zabawne. Nie czuję różnicy.

- Aha. Chyba masz rację.

Minął drzwi, podszedł do biurka, obrócił jej fotel i popatrzył w zielone oczy.

- Porozmawiaj ze mną - rzucił błagalnie.

Kiwnęła głową i podniosła się, stając z nim twarzą w twarz. Dzieliła ich teraz minimalna odległość. Cała Eileen! Zamiast uciec postanowiła dotrzymać mu pola

i bronić swego zdania. Gdy uniosła rękę, miał nadzieję, że pogłaszcze go po policzku, ale wsunęła tylko włosy za uszy, odsłaniając proste kolczyki w kształcie kół. Srebro lśniło w świetle słońca.

- Nie mam czym oddychać. Przesuń się - powiedziała z naciskiem i położyła dłoń na szerokiej piersi, lekko odpychając go, aż zszedł jej z drogi. - Doceniam fakt, że przez cały tydzień do niczego mnie nie zmuszałeś.

- Nie było mi łatwo.

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Uniosła rękę i dotknęła wreszcie jego policzka. - Wyglądasz, jakbyś lada chwila miał wybuchnąć.

Westchnął głęboko, odsunął poły marynarki i wcisnął ręce w kieszenie spodni.

- Bo tak się czuję.

- Nie panikuj. Wszystko jest w porządku. A raczej...  
- poprawiła się po chwili milczenia. - A raczej będzie w porządku. Urodzę dziecko.

Rick miał wrażenie, że jego serce na moment przestało bić. Ta wiadomość sprawiła, że odzyskał poczucie wewnętrznej równowagi. Teraz wszystko się ułoży.

- W takim razie wyjdiesz za mnie.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Eileen zamrugała. Przez ostatnich kilka dni myślała niemal wyłącznie o swoim dziecku i niewielką wagę przywiązywała do wymuszonych sytuacją oświadczeń Ricka. Była przekonana, że pod wpływem szoku zareagował odruchowo. Zastanawiała się również, jak ułożyłoby się między nimi, gdyby naprawdę chciał tego ślubu, gdyby ją kochał, gdyby najpierw połączyło ich prawdziwe uczucie, a dopiero potem łóżko, gdyby powodem nagłych oświadczeń nie była ciąża.

Rick, zbity z tropu, zareagował spontanicznie. Dobrze to o nim świadczyło, że poczuwa się do odpowiedzialności, ale Eileen nie miała ochoty zmieniać swego życia, bo jemu zachciało się zrobić dobry uczynek i popisać szlachetnością.

- Przestań gadać bzdury - zachnęła się.
- Chciałbym pomóc.
- To pozmywaj naczynia zamiast się oświadczać.
- Nie umiem zmywać.
- Sprytnie, cwaniaczku - odparła z uśmiechem - ale przyjmij do wiadomości, że nie wyjdę za ciebie.

Zirytowany skrzywił twarz, ale zreflektował się natychmiast i, zmieniając taktykę, spytał z kamienną twarzą:

- A co z dzieckiem? Czy...

Instynktownie dotknęła płaskiego brzucha. Zauważył ten obronny gest i w milczeniu uniósł brwi.

- Sama je wychowam.

- Doskonale, lecz to również moje dziecko - przypomniał, groźnie mrużąc oczy.

- Tak, ale na razie więcej je łączy ze mną niż z tobą.

- A ja nie mam nic do gadania.

- Tego nie powiedziałam.

- Nie pozwolę się zepchnąć na margines, Eileen.

Pochyliła się i z dolnej szuflady biurka wyjęła dużą brunatną torebkę. Przez chwilę grzebała w niej, szukając kluczyków do auta.

- Oboje zgodziliśmy się, że nie chcemy trwałych więzów. Pamiętasz? Każde z nas może odejść, kiedy uzna, że ma dość, prawda? - mówiła w czasie tych poszukiwań.

- Tak było, ale sytuacja się zmieniła - powiedział chłodno. - Teraz nie chodzi wyłącznie o nas, lecz także o dziecko. Nie ma więzów trwalszych niż rodzicielstwo.

Eileen zacisnęła w dłoni kluczyki i powoli wyjęła je z torebki. Wyprostowała się i spojrzała mu w oczy, starając się zapanować nad przygnębieniem, którego starała się nie analizować zbyt dokładnie. Na próżno. Znów miała świadomość, że się nie liczy. Rick nie dlatego zaproponował małżeństwo, że kochał ją do szaleństwa. Powodem oświadczyn nie były nawet ich upojne noce. Ależ skąd!

Chciała ją poślubić, bo zależało mu na dziecku, które miała w sobie. Ta myśl sprawiła jej ból, ale najlepiej od razu spojrzeć prawdzie w oczy: małżeństwo oparte na takim fundamencie nikomu nie jest potrzebne do szczęścia.

- Racja, ale dziecko nie stanowi dostatecznego powodu, żeby wziąć ślub.

Rick wybuchnął śmiechem, ale po jego minie poznała, że wcale nie jest mu wesoło. Przegarnął włosy palcami. Zawsze tak robił, kiedy bił się z myślami. Przeszedł kilka kroków, jakby nie potrafił spokojnie ustać w miejscu, odwrócił się i znowu do niej podszedł.

- Zabawne. Moi rodzice byli tego samego zdania.

Eileen zrobiło się go żal, bo w cichym głosie brzmiał ton cierpienia, a piwne oczy pociemniały z bólu. Ogarnięta przygnębieniem niemal czuła, jak Rick z obawy przed ciosem odsuwa się od niej i próbuje zwiększyć dzielący ich dystans. Nie chciał jej współczucia, lecz mimo to instynktownie pragnęła mu pomóc.

- Rick...

- Nie uznali za stosowne wziąć ślubu ani wychować syna - przerwał jej, ciągnąc swoją jeremiadę. Twarz skurczyła mu się ze złości. Eileen zdawała sobie sprawę, że coraz dalej im do siebie. - Oddali mnie babci, a potem każde poszło swoją drogą.

- Rick, tak mi przykro...

- Nie potrzebuję twojej litości - zachnął się, patrząc jej w oczy. - Chcę tylko być prawdziwym ojcem swego dziecka.

Eileen śmiało wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia, jakby chciała dodać otuchy samotnemu chłopcu, który w nim tkwił, a także stojącemu przed nią dumnemu mężczyźnie.

- I będziesz, choć nie ożenisz się z jego matką.

Kilka godzin później zwinięta w kłębek Eileen siedziała na kanapie, analizując wydarzenia ostatnich tygodni, które dzieliły ją od ponownego spotkania z Rickiem. Próbowała sobie wszystko poukładać w sensowną całość. Przez kilkanaście dni znalazła idealnego kochanka i zaszła w ciążę. Rekordowe tempo.

Pogrzebała łyżeczką w litrowym opakowaniu ulubionych lodów czekoladowych i długo rozkoszowała się ich cudownym smakiem. Kto by pomyślał,, że przyjdzie jej bić rekordy w tej dziedzinie życia!

- Wpadłaś, staruszko - powiedziała do siebie z czułością - ale jakoś to będzie, prawda?

Ponownie zanurzyła łyżeczkę w pojemniku i nagle znieruchomiała, bo oczyma wyobraźni ujrzła zboliałą twarz Ricka. Był okropnie przygnębiony, gdy wyszła z biura, zostawiając go samego-. Obejrzała się tylko raz. Nie mogła spokojnie patrzeć na jego minę wyrażającą smutek, rezygnację i samotność. Niewiele brakowało, żeby zawróciła i rzuciła się w jego ramiona. W porę przypomniała sobie jednak, że nie chodzi mu o nią, tylko o dziecko. Może gdyby...

Wzdrygnęła się, słysząc głośne pukanie do drzwi. Spój-



rzała na nie z uwagą. Rick? Z wrażenia ścisnęło ją w dołku. Nie bez irytacji zastanawiała się, czy przylazł do niej, żeby po raz kolejny przekonywać ją do zmiany zdania. Mimo wszystko ten jego upór sprawił jej pewną przyjemność. Nie upierałaby się przy swoim, gdyby użył odpowiednich argumentów, ale nie mogła przecież związać się z człowiekiem, któremu w gruncie rzeczy wcale na niej nie zależało. Pukanie zabrzmiało jeszcze głośniejsze. Eileen postanowiła zignorować natręta. I cóż z tego, że uznał za stosowne do niej wpaść? Gdzie jest powiedziane, że musi wpuścić go do domu?

- Eileen Honora Ryan! - usłyszała donośne wołanie babci. - Natychmiast otwórz drzwi.

Pospiesznie odstawiła pojemnik z lodami na niski stolik, zerwała się z kanapy i popędziła do drzwi. Przekręciła gałkę, otworzyła je szeroko i omal nie dostała w nos pięścią od Maggie Ryan, która miała właśnie zapukać po raz trzeci.

- Babcia? Co się stało?

Starsza pani miała na policzkach ciemne rumieńce.

oczy rzucały gniewne spojrzenia. Minęła wnuczkę, patrząc na nią takim wzrokiem, jakiego Eileen nie widziała od czasu, gdy w pierwszej klasie liceum owinęła papierem toaletowym dom historyczki.

- Babuniu? - Zaniepokojona patrzyła za podstarzałą furią, która wmaszerowała do salonu, odwróciła się i przeżyła ją morderczym spojrzeniem.

- Dlaczego nie chcesz wyjść za Ricka Hawkinsa?

Eileen cicho zamknęła drzwi, choć miała wielką ochotę

trzasnąć nimi z całej siły. Skarżypyta! Podstępny drań. Gra nie fair! Jak mógł pójść na skargę do babci! To spisek i on dobrze o tym wie!

- No tak. Przyleciał do ciebie na skargę.

Babcia prychnęła gniewnie, oparła dłonie na biodrach i tupała czubkiem buta o dywan z wyraźnym splotem.

- Zachował się honorowo. Przyszedł do twoich najbliższych, wyjaśnił, co się stało, i powiedział, że chce cię poślubić.

- Z powodu dziecka.

- Właśnie.

- Nie ma mowy. - Eileen poczuła ucisk w gardle, lecz nie zamierzała dać za wygraną. - Byłabym kretynką, gdybym wyszła za faceta, któremu na mnie nie zależy. Chodzi mu wyłącznie o dziecko. Ja się nie liczę.

Uniosła ręce i nerwowym ruchem poprawiła elastyczną opaskę, którą ściągnęła włosy w koński ogon. Zerknęła na babcię i szybko odwróciła wzrok.

- Powtarza się historia z Robertem. Zaplanował, że będę go utrzymywać, a teraz Rick uznał, że nadaję się na matkę jego dziecka.

- Aha. Chyba rozumiem, w czym rzecz - odparła Maggie i natychmiast złągodniała.

- Proszę? - Eileen była zbita z tropu.

Nagła zmiana nastroju oznaczała zapewne, że starsza pani zbiera siły do kolejnej ofensywy, ale postanowiła zmienić taktykę. Z Maggie Ryan nigdy nic nie wiadomo. To cwana bestia.

- Sądzę, że gdybyś go nie kochała, Rick bez żadnych problemów uzyskałby zgodę na ślub. - Babunia wzruszyła ramionami. - Jest bogaty, przystojny, masz do niego... pewną skłonność. Krótko mówiąc, gdyby nie chodziło o sprawę serca, przyjęłabyś oświadczyzny, bo ryzyko byłoby zerowe. - Z uśmiechem objęła się w talii. - Problem w tym, że ci na nim zależy, więc cierpiałybyś, gdyby się wam nie udało. Stąd wniosek, że kochasz Ricka albo przynajmniej jesteś bliska pokochania go.

Eileen zachwiała się jak po mocnym ciosie. Miłość? Przecież to nie ma nic do rzeczy.

- Głupstwa mówisz - oburzyła się, wróciła na kanapę i chwyciła pojemnik z lodami.

Miłość? Gdzie tam! Owszem, lubiła Ricka. Nawet bardzo. Potrafił ją rozśmieszyć. Chętnie z nim rozmawiała. Był inteligentny, miły i... Dość, skarciła się. Nie ma mowy, żeby pokochała mężczyznę, który nic do niej nie czuje. Nie ma miłości bez wzajemności. Kto raz się sparzył, ten na zimne dmucha, a ona miała fatalne doświadczenia. Wepchnęła do ust pełną łychę lodów i nagle poczuła pulsujący ból. Porażone chłodem nerwy; kara za łakomstwo. No i proszę, wszystko się sprzysięgło przeciwko niej. Teraz nie może się nawet raczyć ulubionym smakołykiem. Odstawiła pojemnik na stół, spojrzała spode łba na babcie i potarła dłonią obolałe skronie.

- Nie kocham Ricka i nie zamierzam wychodzić za mego za mąż tylko dlatego, że jego zdaniem to świetny pomysł.

- Wpoiłam ci pewne zasady, moja droga - przypominała babcia. Doskonała zagrywka: proste słowa, cichy i spokojny głos, ton lekkiego rozczarowania. - Twoje dziecko zasługuje na lepszy los.

- Będzie miało mnie, ciebie i Bridie.

- A ojciec? Twoim zdaniem jest zbędny?

Przyszłemu ojcu wypruję flaki, kochana babuniu, za to, że polecił do ciebie na skargę, pomyślała mściwie.

Rick od razu wiedział, że to Eileen go odwiedziła. Gdy zaraz po pracy wybrał się z wizytą do Maggie, miał świadomość, że czeka go potem koszmar awantura, ale choć spodziewał się, że Eileen wpadnie do jego domu niczym chmura gradowa, przestraszył się, widząc groźny błysk w zielonych oczach. Bez słowa poszła za nim do salonu, ale czuł, że dyszy żądzą zemsty. Stała się pośrodku jasno oświetlonego pokoju. Za oknami było już całkiem ciemno. Rick miał wrażenie, że podobny mrok panuje w jego sercu od chwili, gdy Eileen wyszła z biura i zostawiła go samego, jakby miała całkiem zniknąć z jego świata.

- Zachowałeś się podłe, Hawkins! - krzyknęła, odwracając się tak szybko, że ruda kitka końskiego ogona na moment zasłoniła jej twarz. - To nie fair, że poszedłeś do babci.

- Wiem. - Zamknął drzwi i poszedł za nią do pokoju. Wcisnął ręce w kieszenie spodni, bo korciło go, żeby chwycić ją w ramiona. - Tonący brzytwy się...

- Nie przestrzegasz reguł gry - przerwała ostro. - Zapamiętam to sobie.

- Nie dałaś mi wyboru. - Po wyjściu Eileen postanowił sobie, że nie cofnie się przed niczym, byle tylko ją przekonać. Nie mógł pozwolić, żeby odeszła, i udawać, że wszystko jest w porządku.

- Dlaczego polazłeś do babci? W głowie mi nie powstało, że mógłbyś... - Przerwała nagle i rozejrzała się po salonie. Rick spróbował popatrzeć na to pomieszczenie jej oczyma. Zwracały uwagę surowe meble bez żadnych ozdób, gołe ściany, brak akcesoriów tworzących domową atmosferę. - Ohydny ten pokój.

- No dobra, miałem swoje powody, żeby pogadać z twoją babcią, a mój salon wcale nie jest taki paskudny.

- Architekta wewnątrz należałoby rozstrzelać.

- Nie zatrudniłem nikogo.

- Sam się tak urządziłeś? - Wykonała pół obrotu, żeby lepiej wszystko obejrzeć. Przyglądał się jej, gdy z niedowierzaniem kręciła głową. - Czuję się jak w pokoju hotelowym. Nie, cofam to. W hotelach jest przynajmniej kolorowo. - Znowu popatrzyła na Ricka. - Twoja życiowa szarzyzna trochę się rozpanoszyła, co?

- Spędzam tu niewiele czasu.

- I bardzo dobrze. Wcale bym się nie dziwiła, gdybyś wsadził głowę do piecyka i odkręcił gaz.

- Piekarnik mam elektryczny.

- Oddycham z ulgą. Jesteś bezpieczny. - Raz jeszcze pokręciła głową i wróciła do poprzedniego wątku. - Tak czy inaczej, nie wyjdę za ciebie tylko dlatego, że napuściłeś na mnie babunię.

- Do cholery, Eileen! - zdenerwował się nagle Rick i podszedł bliżej. Miał dość zachowywania dystansu i udawania, że jest całkiem spokojny. - Nie chcę, żeby moje dziecko przyszło na świat jako bękart.

Skrzywiła się paskudnie i zdumiona tym wybuchem patrzyła na niego z otwartą buzią.

- Ależ to paskudne określenie! I przestarzałe.

Wybuchnął gromkim śmiechem, który podrażnił mu gardło i zranił serce.

- Tak mówią wszyscy podobni do ciebie.

- Proszę?

- Ciebie i Bridget wychowała babcia, ale wasi rodzice byli małżeństwem i bardzo was kochali. Gdyby nie przedwczesna śmierć, tworzylibyście przykłądną rodzinę.

Eileen pobladała lekko, bo wspomnienia sprzed wielu lat nadal wywoływały ból.

- Co ty wiesz o życiu? Mimo wszystko miałaś piękne dzieciństwo - ciągnął Rick przyciszonym głosem. - Tamto słowo wcale nie wyszło z użycia. Ma też wiele synonimów: podrzutek, znajda, przybłęda, kopciuch, bidul... - Zacisnął dłonie w pięści i ukrył je w kieszeniach. Wiedział z własnego doświadczenia, że dzieciaki bywają okrutne, a gdy chcą komuś dokuczyć, pomysłów mają tysiące.

- Naszemu dziecku nic takiego nie grozi - odparła, także ścisząc głos. - Będzie kochane. Nie ma znaczenia, czy...

- Wierz mi, dla mnie ma, i to ogromne - zapewnił,

spoglądając jej w oczy. - Zapewniam cię, że nasz stan cywilny wcale nie będzie mu obojętny, kiedy bachory zaczną go przezywać.

- To się nie zdarza.

- Owszem, i to nagminnie. - Popatrzył jej w oczy i odchrząknął, jakby coś utkwilo mu w gardle. - Nie masz pojęcia, jak to jest, ale ja przez to przeszedłem, dlatego wiem, co mówię, i nie chcę, żeby moje dziecko było narażone na podobne upokorzenia.

- Rick...

- Małżeństwo ze mną wcale nie będzie takie okropne - nalegał, za wszelką cenę starając się ją przekonać. Do diabła, był przecież bogatym człowiekiem. Mógł dać jej wszystko, czego pragnęła. - Zainwestuję w twoją kwiaciarnię, pomogę ci ją rozwinąć...

- Nie potrzebuję...

- Wspomniałaś o dużym zamówieniu: dekoracje kwiatowe na ślub i wesele. - Rick zapalał się coraz bardziej.

Mógłby ułatwić jej zdobywanie tego rodzaju kontraktów. Skoro nie chciała wyjść za niego przez wzgląd na dziecko, może zgodzi się, jeśli zrozumie, że dla niej taki związek może być wyjątkowo korzystny. Alison wyszła za niego dla pieniędzy. Może i dla Eileen ten argument okaże się decydujący?

Raczej nie. Różniła się bardzo odjego byłej. Dla Eileen to bez znaczenia, czy wybranek jest spłukany, czy posiada miliony. Jest taka mądra, pełna życia, wesoła i cholernie niezależna. Do czego by się jej przydał taki facet jak on?

Pieniądze to dla niej żaden argument, ale dobro dziecka bardzo leżało jej na sercu. Może jednak zgodzi się na ślub? Oczywiście trudno wymagać, żeby została z nim na zawsze. Na pewno odejdzie. To jedynie kwestia czasu. Ale przynajmniej dziecko przyjdzie na świat w normalnej rodzinie i w naturalny sposób będzie nosić jego nazwisko. To je uchroni od napaści kolegów.

Rick dodał z nadzieją w głosie:

- Jeśli chcesz, dam ci dość pieniędzy, żebyś mogła przekształcić „Krainę Marzeń” w firmę organizującą huczne śluby i przyjęcia weselne. To dochodowy biznes. Jestem pewny, że zbijesz fortunę.

- Rick... - odparła z westchnieniem. - Lubię swoją kwaciarnię i nie zamierzam jej zmieniać.

Perorował dalej, nie zważając na jej protesty. Starał się przedstawić życie małżeńskie jako ocean szczęścia, co było dla niego tym trudniejsze, że miał fatalne doświadczenia.

Eileen słuchała z uwagą, ale co ważniejsze, starała się dociec, co go skłoniło do wygłoszenia owej tyrady. Zwracała uwagę nie tylko na treść, lecz także na formę. Mówił bardzo szybko, więc doszła do wniosku, że sam nie jest do końca przekonany o słuszności własnych argumentów. Zrozumiała wkrótce, dlaczego tak mu zależało na ślubie. Nie chodziło jedynie o dziecko. Przywiązał się do niej, choć jeszcze sobie tego nie uświadamiał. Pewnie nigdy się do tego nie przyzna, lecz tak właśnie było. Wyczytała to z jego oczu, niespokojnych, rozbieganych, zalęknionych, że mogłaby odejść i na zawsze zniknąć z jego świata.



Jak wszyscy, na których mu dotąd zależało... Wyjątek stanowiła babcia, która go wychowała, lecz poza nią nikt z nim nie chciał zostać. Rodzice się go wyrzekli, żona odeszła. Zapewne uznał, że nowy związek również wkrótce się rozpadnie.

Chciał siebie i dziecko uchronić przed cierpieniem, to też wybrał jedyny znany mu sposób, a mianowicie oficjalne zalegalizowanie tego, co ich łączyło. Eileen rozczuliła się, gdy przyszło zrozumienie. Dziesiątki myśli przebiegały jej przez głowę. Może babcia ma rację, zastanawiała się w duchu, może naprawdę go kocham. Rick nie mówił o miłości, bo w nią nie wierzy. Nie nalegał, żeby została z nim do grobowej deski, bo sądził, że na tym świecie wszystko jest tymczasowe. Gdyby udało jej się udowodnić, że jest inaczej...

W tym celu powinna zrobić pierwszy krok i przyjąć jego oświadczenia. To jedyny sposób, aby go przekonać, że mogą żyć razem długo i szczęśliwie. Jeśli Rick uwierzy, że miłość nie stanowi dla niego zagrożenia, z czasem przesłanie bać się uczuć i wyzna, że ją kocha.

Ale w tym celu jedno z nich musi zaryzykować. Wygląda na to, że padło na nią.

- Dobrze - przerwała mu w pół słowa.
- Co dobrze? - zapytał, spoglądając na nią podejrzliwie.

Nie będzie łatwo, pomyślała Eileen, lecz nie miała odwrotu. Podjęła decyzję i czuła, że postępuje właściwie.

- Wyjdę za ciebie - odparła - ale pod jednym warunkiem.

- Jakim? - spytał ponuro.

- To ma być prawdziwe małżeństwo. Pod każdym względem.

Wyjął ręce z kieszeni i przyciągnął ją do siebie. Położył dłonie na jej ramionach, zajął w zielone oczy i kiwnął głową.

- Zgoda. Prawdziwe małżeństwo. Ciekawe, jak długo uda nam się ze sobą wytrzymać.

- Ależ z ciebie optymista - mruknęła, gdy objął ją mocno. Położyła głowę na jego piersi i zamknęła oczy. Miała szczerą nadzieję, że nie popełnia błędu.

Ceremonia ślubna była krótka i na swój sposób urokliwa. Brakowało jej wprawdzie powagi i baśniowego nastroju, miała jednak specyficzną aurę sentymentalizmu.

Do ławek przyczepione były kokardy z plastiku, a z głośników płynęła nastrojowa muzyczka w stylu pop. Młode pary tworzyły w holu długą kolejkę, czekając, aż przyjdzie ich czas, żeby pomaszerować do ołtarza, którego funkcję pełniła wiklinowa pergola opleciona girlandami sztucznych kwiatów z jedwabiu. Szło się ku niej wąską nawą wyłożoną czerwonym dywanem. Duchowny był niski i korpulentny. Nosił okulary w drucianej oprawie i miał długą brodę. Gdyby nie hawajska koszula, spłowiełe dzinsy oraz sandały, wyglądałby jak święty Mikołaj z supermarketu.

Na ślubie były obie babcie, a także Bridie z mężem. Trójka dzieciaków została pod opieką teściowej, a ich matka cieszyła się urokami weekendu w Las Vegas.

Wszystko szło jak należy, aż grubasek o powierzchowności świętego Mikołaja zapytał:

- Eileen, czy chcesz wziąć za męża tego oto Ricka Hawkinsa?

Niespodziewanie ogarnęła ją paniczny strach. Zdrowy rozsądek domagał się natychmiastowego przeanalizowania sytuacji. Od pospiesznych oświadczeń Ricka minęło zaledwie dwa tygodnie. Wygląda na to, że oboje rzucili się na oślep w szalone przedsięwzięcie, którego niemal pewnym efektem będą złamane serca i wzajemne pretensje.

Eileen wstrzymała oddech i spojrzała przez ramię na swoich najbliższych. Babunia jak zwykle spokojna i królewska w granatowym kostiumie z wyczyszczoną do połysku srebrną broszką w klapie. Jaśniejąca w padającym z góry świetle ruda głowa Bridie przytulonej do męża i dającej znaki oczyma, jakby zachęcała siostrę do powiedzenia czegokolwiek. Podśpiewująca radośnie babcia Ricka z długim siwym warłoczkiem przerzuconym przez ramię.

- Eileen - powiedziała cichutko Maggie Ryan, jakby chciała wyrwać wnuczkę z hipnotycznego transu.

- Wszystko dobrze, kochanie? - spytała babcia Ricka scenicznym szeptem, który zabrzmiał głośniejsz od muzyki.

Dobrze... Eileen zaczęła się nad tym zastanawiać. Chyba nie. Miała niejasne przeczucie, że ten ślub usunie pewną trudność, ale spowoduje mnóstwo nowych. Zadawała sobie pytanie, co tutaj robi.

Popatrzyła na duchownego, a potem na Ricka. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby nogi ugięły się pod nią. Spot-

kały się zielone i piwne oczy. Wyczytała z nich smutek, ale i spokojną rezygnację. Spodziewał się, że zostanie porzucony. Wcześniej przygotował się na taką zmianę zdania i odejście narzeczonej. Tylko czekał, kiedy odwróci się i zostawi go samego przy ołtarzu.

Jego nastawienie stanowiło dla niej koronny argument, że podjęła słuszną decyzję.

- Tak - oznajmiła.

Był wyraźnie zaskoczony, gdy wsuwał jej na palec płaćnową obrączkę wysadzaną brylantami. Eileen westchnęła głęboko, kiedy poczuła jej ciężar. Znali się od lat, a teraz stanęli na ślubnym kobiercu. Czy to przeznaczenie?

Wpatrywała się w obrączkę, z roztargnieniem słuchając duchownego, który kontynuował ceremonię. Obiecała swojemu maleństwu, że postara się ze wszystkich sił, aby jej małżeństwo było zgodne i szczęśliwe. Znajdzie sposób, żeby przekonać Ricka Hawkinsa, jak bardzo go kocha.

Świat zamarł w bezruchu.

Czas stanął w miejscu.

Naprawdę kochała swojego męża. To nie było chwilowe zauroczenie ani nawet serdeczne przywiązanie, tylko głębokie uczucie.

Po raz pierwszy w życiu przeżywała prawdziwą miłość. Pokochała człowieka przekonanego, że wkrótce i tak zostanie porzucony.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Miesiąc później Eileen nie była już taka pewna, że podjęła właściwą decyzję. Nie ulegało wątpliwości, że wyszła za mąż. Miała na to dowód w postaci kasyty z filmowym zapisem ślubu. Niestety, w ogóle nie czuła się mężatką.

Trudno przyjąć do wiadomości zmianę stanu cywilnego, gdy świeżo upieczony małżonek traktuje połowicę jak tymczasową współlokatorkę, z którą chętnie kocha się do całkowitego wyczerpania. Problem w tym, że poza łóżkiem Eileen nie czuła z nim żadnej bliskości. W domu prawie go nie było. Całe dni spędzał w biurze. Gdyby nadal u niego pracowała, przynajmniej tam by się widywali, lecz agencja zatrudnienia przysłała sekretarkę, która miała zastępować Margo podczas urlopu macierzyńskiego. Eileen wróciła do swojej kwiaciarni, Rick przesiadywał w swojej firmie, więc praktycznie widywali się tylko » sypialni, a i tam pod pewnymi względami nie było najlepiej. Ledwie ochłonęli, Rick odsuwał się od żony, jakby chciał uprzedzić moment, gdy ona sama odwróci się do argo plecami. Żadnego przytulania w ciemnościach ani aocnych szeptów i planów na przyszłość. To jasne, pomy-

ślała Eileen. Skoro uznał, że szybko się rozstaniemy, planowanie nie ma dla niego sensu.

Eileen wciąż nie traciła nadziei i trwała na posterunku, starając się dowieść, że nie zamierza porzucić męża, ale po jego minie poznała, że jej nie dowierza. Nadal spodziewał się, że pewnego dnia zostanie sam.

- Jak tam urządzenie domu?

- Proszę?

- Wróć do rzeczywistości! - skarciła ją Bridie i sięgnęła po ciasteczko.

Zapach cynamonu wypełniał jej ciepłą, przytulną kuchnię. Kończył się listopad, więc na dworze panował chłód. Eileen miała wrażenie, że w jej sercu także robi się coraz zimniej. Wpadła do siostry, żeby się ogrzać w ciepłym domowym ognisku.

- Pytałam o nowy dom - niecierpliwiła się Bridie. - Urządzasz się?

Nowy dom... Kolejny bolesny problem. Nie pytając jej o zdanie, Rick kupił piękną nadmorską rezydencję w hiszpańskim stylu. Podobno chciał jej zrobić niespodziankę, ale prawda była taka, że próbował zamknąć ją w złotej klatce. Wykombinował sobie, że w wielkim domu będzie miała zbyt wiele zajęć, aby myśleć o rozstaniu. Przywyknie do luksusu i wielkich przestrzeni, więc nie zechce z nich rezygnować, a sama nie zarobi przecież na luksusowe lokum.

Problem w tym, że wielkie domisko nie było prawdziwym domem. Brakowało w nim ciepła i przytulności, któ-

re charakteryzowały uroczy drewniak Eileen. Nadmorska rezydencja była pusta i odpychająca. Nie przypominała rodzinnego domu wypełnionego marzeniami o szczęśliwej przyszłości. Eileen zazwyczaj snuła się samajedna po ogromnych pomieszczeniach. Nie udało jej się namówić Ricka, żeby wybrał z nią meble do nowego domu.

- Jeszcze się do tego nie zabrałam - odpowiedziała w końcu na pytanie siostry. Pod wpływem nagłego impulsu postanowiła wyrzucić to z siebie.

- Słucham?

- Prawda jest taka, że nie mamy nawet mebli. Dom wygląda jak opuszczony magazyn. Kilka sprzętów, które zabrałam ze swojego domu, ledwie wystarczyło do urządzenia jednego pokoju.

- Na miłość boską! Weź kilka wolnych dni i umebluj to swoje domisko.

Eileen sięgnęła po ciastko i zaczęła je kruszyć, przyglądając się kawałkom, które spadały na blat i odbijały się od niego.

- Nie chcę robić tego sama. Ten dom ma być wspólny, mój i Ricka... przynajmniej teoretycznie. Oboje powinniśmy uczestniczyć w jego urządzeniu.

- Ale...

- Zawsze jest jakieś ale - przerwała Eileen. Chętnie nnerzyłaby się siostrze, lecz ilekroć zaczynała mówić o małżeńskich problemach, czuła się nielojalna wobec Ricka. Miała wrażenie, że go obgaduje, więc szybko milkła. Niech to jasna cholera! Czy ten głupek nie widzi, że jest

gorąco kochany? Jakim prawem ją od siebie odpycha? Czy mu na niej nie zależy?

Bridie wyczuła, że to nie jest pora na zwierzenia, i zmieniła temat.

- Kto by pomyślał, że wyjdiesz za mojego dawnego chłopaka!

- Można powiedzieć, że przeszedł z rąk do rąk - mruknęła kpiąco Eileen. Sięgnęła po kolejne ciastko i tym razem odgryzła kawałek.

- Niestety, muszę wyznać, że nie zdołałam go przy sobie zatrzymać. Wyrwał się.

- Myślałam, że sama z nim zerwałaś. Naprawdę od ciebie odszedł?

- Aha. Rzucił mnie przed balem maturalnym. Kanalia, co? Ale mam dobre serce i dawno wybaczyłam mu paśskudny nietakt.

Zaciekawiona Eileen pokręciła głową i oparła łokcie na lśniącym blacie dębowego stołu.

- Rozumiesz, co to znaczy? Zerwał, żeby uprzedzić twoje odejście, bo wykombinował sobie, że masz go dość.

- Może i tak. - Zbita z tropu Bridie popatrzyła na siostrę. - Czemu to dla ciebie takie ważne?

Eileen otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale nim zaczęła mówić, do kuchni wpadła zapłakana rudowłosa dziewczynka.

- Mamusiu, mamusiu! - Trzyletnia Becky z głośnym tupotem podbiegła do Bridie i przytuliła się do jej kolana. - Jason nie chce, żebym z nim fruwała.



- Skarbie, Jason nie potrafi fruwać. Przecież... - Bridie otworzyła szeroko oczy i zerwała się na równe nogi. - Co on tam wyprawia? - Popędziła do drzwi prowadzących na podwórko. - Zaraz wracam! - rzuciła na odchodnym i wybiegła z kuchni.

Becky wdrapała się na kolana Eileen, śmiało zwędziła ciasteczko i wtuliła się w ramiona cioci.

- Głupie te chłopaki!

- Ciekawe, czy za dziesięć lat będziesz tego samego zdania. - Eileen pogłaskała miękkie jak jedwab włoski siostrzenicy i pocałowała ją w czubek głowy.

Dziewczynka nie słuchała. Właśnie zsuwała się z jej kolan, bo zobaczyła ulubioną czerwoną kredkę, więc natychmiast zachciało jej się rysować.

- Żadnego fruwania, chyba że samolotem. Rozumujemy się, maluszku? - szepnęła Eileen, głaszcząc się po brzuchu i z uśmiechem obserwując siostrzenicę.

Pomyślała o Ricku i natychmiast spoważniała. Umyślnie odsuwał się od niej, żeby mniej cierpieć, kiedy zostanie porzucony. Nie chciał nawet rozmawiać o dziecku ani robić planów dotyczących jego przyszłości, jakby podejrzewał, że za jakiś czas Eileen przestanie go uwzględniać w swoich życiowych rachubach.

Zależało mu na niej. Wyczytała to z jego oczu. A jednak odmawiał jej miejsca w swoim świecie, jakby zawczyna przyzwyczajając się do życia bez niej.

Westchnęła bezradnie, ponieważ nie miała pewności, czy zdoła skruszyć ochronny mur, którym się otoczył.

Minęły trzy dni i nic się nie zmieniło. Eileen traciła cierpliwość. Nie mogła dłużej czekać. Musiała wygarnąć mu całą prawdę i zmusić do szczerzej rozmowy. Czekanie nic tu nie pomoże. Trzeba działać.

Rozsądek podpowiadał, żeby nie robiła sobie wielkich nadziei, bo Rick jest zapewne niereformowalny. Mimo to postanowiła spróbować.

Wybierał się dziś w podróż służbową do San Francisco. Leciał na cztery dni, więc miała do wyboru: albo rozmówić się z nim natychmiast, albo odłożyć konfrontację.

Teraz albo nigdy, postanowiła odważnie.

Ubrana i gotowa do wyjścia czekała na niego w kuchni. Zwykle nie spotykali się rano, bo wychodziła do kwaciarni, nim raczył zejść na dół. Dziś słyszała z daleka odgłos jego kroków, bo podeszwy butów stukały mocno o drewniane schody, które dawno należało przykryć miękkim chodnikiem.

W całym domu odzywały się echa. Przez wielkie okna bez zasłon o każdej porze dnia i nocy widać było fale Oceanu Spokojnego. Pokoje były puste, ściany i podłogi nagie. Dom sprawiał wrażenie opuszczonego.

Kiedy Rick wszedł do kuchni, osłupiał na widok Eileen. Miał na sobie granatowy garnitur, tradycyjną białą koszulę i purpurowy krawat. Poczula korzenną woń jego wody po goleniu i westchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Najchętniej rzuciłaby się w jego ramiona.

Wiedziała, że natychmiast otworzyłby jej i przytulił ją mocno. Fizyczna strona ich związku okazała się bez zarzutu, ale inne aspekty mocno kulały.

Rick powiesił na drzwiach torbę z garniturami i wsunął rękę w kieszenie.

- Mówiłaś, że rano masz być w kwaciarni.

Dobry omen! Słuchał, co się do niego mówi, zamiast puszczać wszystko mimo uszu.

- Zadzwoiłam do Pauli, żeby przyjęła dostawy - odparła Eileen, upiła łyk kawy i odstawiła kubek na kuchenny blat. - Poprosiłam ją o zastępstwo, bo chciałam zająć ci chwilę, nim wyjedziesz. Musimy porozmawiać.

W piwnych oczach pojawił się błysk zrozumienia. No i proszę, spełniły się jego przewidywania. Eileen niemal czuła, jak się od niej odsuwa.

- Nie mogę - odparł krótko. Zerknął na zegarek, a potem znów na nią popatrzył. - Spieszę się na lotnisko, bo ucieknie mi samolot i...

- Rick, nie możesz dłużej traktować mnie jak powieź - bezceremonialnie przerwała ten potok usprawiedliwień. Postanowiła sobie w duchu, że nie dopuści, aby wiecznie mamił ją podobnymi błażostkami.

Podszedł do ekspresu, nalał kawy do kubka i dopiero wtedy odpowiedział.

- Jesteś przewrażliwiona.

- No dobrze, źle się wyraziłam - odparła, poprawiając dastyczną opaskę ściągającą włosy w koński ogon. Zaciśnęła dłonie na brzegu kuchennego blatu, który był zimny i...

O Boże, szary! Czyżby wszechogarniająca szarość świata biznesu wdarła się także do ich domu? - Należało powiedzieć, że nie tyle mnie ignorujesz, co starasz się przekupić.

- Słucham?

Doskonale! Zwróciła jego uwagę. Odchrząknęła nerwowo i ciągnęła swoje wywody.

- Na przykład ten dom.

Rick upił łyk kawy, żeby zyskać na czasie.

- Sądziłem, że ci się spodobał.

- Owszem, ale nie o to chodzi.

- A o co? - Znowu upił łyk i spojrzał na nią ponad brzegiem kubka.

Eileen zrobiła minę wyrażającą jawne niedowierzanie. Czyżby naprawdę był taki tępy, czy tylko udaje głupka?

- Kupiłeś go, nie pytając mnie o zdanie.

- Już o tym rozmawialiśmy - mruknął naburmuszony.

- Chciałem ci zrobić niespodziankę.

Uroczy pomysł. Rzeczywiście trudno gniewać się na faceta, który funduje swojej kobiecie prawdziwy pałac, uznała nie bez ironii.

- Gratuluję. Udało ci się.

- W takim razie o co chodzi, kochanie? - Rick był wyraźnie zaniepokojony.

Dodał czułe słówko, żeby ją ugłaskać, ale nie dała się nabrać. Stwarzał pozory bliskości. Ofiarował jej ten czczy wyraz, jak się rzuca kość natrętnej, wygłodniałej psinie. W ten sposób usiłował przekonać samego siebie, że wszystko jest w porządku, chociaż tak nie było. Westchnęła ciężko, przechyliła głowę na bok i spojrzała na niego z ukosa.

- Musimy porozmawiać - upierała się.

Rick poczuł, że coś ściska go w dołku. Napiął wszystkie mięśnie, jakby spodziewał się ciosu. Wiedział, że do tego dojdzie, ale był trochę zaskoczony, że najgorsze przeczucia spełniły się tak szybko. Przecież byli zaledwie miesiąc po ślubie. Z rozpaczą popatrzył na Eileen. Wszystko mu się w niej podobało, na przykład ta kitka rudych włosów kiwająca się przy każdym ruchu jak wskazówka metronomu. Widoma wskazówka zmiennych nastrojów właścicielki: im gorszy humor, tym szybsze tempo.

Ich wspólne życie to pasmo nieustannych wzlotów i upadków. Niebo i piekło w jednym. Ani chwili na nudę. Eileen była niesamowita. Uwielbiał słuchać w ciemnościach jej głosu i czuć, że jest na wyciągnięcie ręki. Ich długie noce były dla niego źródłem niewysłowionego szczęścia. Cudownie fałszowała pod prysznicem, rozniała łyż, oglądając telewizyjne reklamy, i pożerała z apetytem rozmaite paskudztwa kupione w barach szybkiej obsługi. Kiedy była szczęśliwa, śmiała się na cały głos. Przebojem wdarta się do jego świata i wyrzuciła go do góry nogami.

Od dawna cierpiał na myśl, że te wszystkie radości zostaną mu odebrane. Powinien cieszyć cię każdą chwilą spędzoną we dwoje, lecz instynkt samozachowawczy ostrzegał, że taka bliskość może być dla niego fatalna w skutkach. Lepiej trzymać się na dystans i przygotować na nieuchronną stratę, bo z każdym promiennym uśmiechem żony coraz bardziej się od niej uzależniał. Wystar-

czyła, że westchnęła przez sen i wtuliła się w niego, by umierał z niepokoju.

Najważniejszym sygnałem ostrzegawczym była dla niego jej niechęć do urządzenia wspólnego domu. Uwielbiała przytulne gniazdko, ale nie kiwnęła palcem, żeby pustą rezydencję przekształcić w prawdziwe ognisko domowe. Żadnych obrazków na ścianach, miękkich poduszek, doniczek z kwiatami, a nawet bukietów wypełniających nieco pustkę ogromnych pokoi. Ich wielki dom był przeciwieństwem jej przytulnego lokum. W ten sposób jasno i wyraźnie dała mu do zrozumienia, że to dla niej jedynie krótki przystanek w podróży przez życie.

Skoro to koniec, trzeba się rozstać definitywnie i śmiało przeciąć wszystkie więzy, póki miał siłę, żeby to zrobić. Gdyby pobyli razem jeszcze trochę, nie przeżyłby rozstania.

- Dobra. - Łapczywie upił łyk kawy i przełknął, choć parzyła mu gardło. Bardzo dobrze. Fizyczny ból na moment odwrócił uwagę od duchowego cierpienia. - Mów.

- Super - westchnęła. - Jaka miła zachęta!

- Eileen... - Zacisnął zęby. - Powiedz wreszcie...

Uniosła rękę, żeby go uciszyć.

- Jesteś moim mężem?

- Proszę? - Zaskoczył go ten wstęp.

- Spytałam, czy jesteś moim mężem - powtórzyła i jakby dla podkreślenia tych słów chwyciła go za rękę.

- Mężem czy namiętnym współlokatorem i fajnym kumplem?

Cofnął dłoń i opuścił ramię. Ukradkiem zacisnął palce, żeby dłużej zatrzymać ciepłej ręki.

- Do czego zmierzasz?

- Właściwie chodzi mi o to, gdzie jesteś i co teraz robisz?

Zniecierpliwiony Rick odsunął się od blatu.

- Stoję przed tobą. I czuję się urażony.

Uśmiechnęła się promiennie, ale zielone oczy pozostały smutne. Widomy dowód, że nie będzie łatwo.

- Rewelacja! Po raz pierwszy, odkąd się pobraliśmy, raczysz tu ze mną być.

Rick nie zamierzał brać za dobrą monetę tych oskarżeń. Codziennie wracał przecież do domu, spędzał w nim wieczory i noce. Gdyby było inaczej, czy przywykłyby do życia stanowiącego nieustanną huśtawkę nastrojów?

- O czym ty mówisz? Mieszkamy razem...

- Nie - sprzeciwiła się, energicznie kręcąc głową. Runda kitka miotała się na wszystkie strony. - Ja tu mieszkam, ty bywasz.

Minęła go i stukając obcasami po terakotowych płytach, zrobiła kilka kroków. Zatrzymała się i stanęła z nim twarzą w twarz. Śledził ją wzrokiem, niezdolny oderwać zachwyconych oczu. Gdy na niego spojrzała, przeraził się, widząc, że jest okropnie wzburzona.

- Zerwałeś z Bridie.

W pierwszej chwili był kompletnie zbity z tropu. Długo gapił się na nią. Co ma z nim teraz wspólnego tamto rozstanie sprzed dziesięciu lat?

- Słucham?

- Chodzi o moją siostrę Bridie.
- Wiem, o kim mowa - burknął. - Nie rozumiem tylko, czemu o niej wspomniałaś.
- Naprawdę? - spytała, nagle odzyskując spokój.
- Oświeć mnie.
- Chętnie. - Położyła dłonie na biodrach i spojrzała mu prosto w oczy.
- W ostatniej klasie liceum zerwałeś z Bridie tuż przed balem maturalnym.
- Rozumiem, że to dla ciebie ważne. Ale dlaczego? Smutny uśmiech Eileen sprawił, że serce mu się ścisnęło z żalu.
- Na miłość boską! Rick, teraz zachowujesz się identycznie.
- Miał dość tej psychoanalizy.
- Nie wiem, o czym mówisz - obruszył się nagle. Podszedł do zlewu z lśniącej, zimnej stali i postawił w nim kubek z niedopitą kawą.
- Zerwałeś z Bridie, ponieważ obawiałeś się, że ona cię rzuci.
- Trafiła w dziesiątkę, ale za nic w świecie nie przyznałby się do tego.
- Rozstałem się z nią, ponieważ nie było mnie stać na dziewczynę. Takie chodzenie to droga impreza.
- Chyba wiesz, co mówisz - odparła zduszonym szeptem. - Teraz najwyraźniej nie stać cię na żonę.
- Popatrzył z ukosa i odwrócił się, stając z nią twarzą w twarz.



- Nieźle mnie podsumowałaś - odparł spokojnie. -  
Mów dalej.

- Dobrze. - Wcisnęła ręce w kieszenie dżinsów i przez chwilę kołysała się w przód i w tył. - Przeraziłeś się, bo za bardzo ci zależało na Bridie, więc postanowiłeś natychmiast z nią zerwać. A teraz jesteś wystraszony, bo mógłbyś się we mnie zakochać, więc udajesz, że się zdematerializowałam.

- Ach tak. - Rozszyfrowała go! Ze strachu był tak obojętny, jakby łapa olbrzyma-sadysty gmerała w jego wnętrznościach. Uniósł ręce. - Teraz nie mam czasu na takie dywagacje. Porozmawiamy, gdy wrócę z San Francisco.

Zastąpiła mu drogę, gdy ruszył do drzwi prowadzących na schody, żeby wziąć torbę z ubraniami. Chwyciła go za klapy marynarki i nie pozwoliła iść dalej.

- Nie porozmawiamy, bo ty się do mnie nie odzywasz.

- Czyżby? - zachnął się, próbując nie myśleć o ciepłej dłoni, które wyczuwał przez kilka warstw tkaniny. Cudownie rozgrzewało chłodne serce. - A co teraz robię? Czyżbym milczał?

Puściła mimo uszu jego argumenty.

- To nie wystarczy - odparła. - To za mało.

- Czego za mało? - spytał natychmiast. Czuł, że upierając się przy swoim, walczy na straconej pozycji, ale nie był jeszcze gotowy do ogłoszenia kapitulacji. - Ożeniłem się z tobą. Jestem ci oddany.

- Ładne mi oddanie! Nie stać cię było nawet na wybranie kanapy.

Bezradnym gestem uniósł ręce i wsunął palce we włosy.

- Mówiłem ci, żebyś kupiła te cholerne meble. Nie musisz się ograniczać. Masz karty kredytowe, więc zaszalej.

Spojrzała na niego z politowaniem, opuściła ręce i zrobiła mu przejście.

- Nie przyszło ci do głowy, że to nasz wspólny dom? Jeśli sama go urządzę, będzie tylko mój. Pragnę czuć tu twoją obecność. To miejsce powinno być dla ciebie ważne. Chcę, żeby i na mnie ci zależało.

- Przecież tak właśnie jest! Spodziewasz się mojego dziecka!

Wybuchnęła gorzkim śmiechem. Łzy płynęły po jej policzkach.

- Nie chodzi o dziecko, tylko o nas, o nasze małżeństwo. Ale chyba nic z tego nie będzie.

Chłód zmroził mu serce, promieniując na całe ciało. Niewiele brakowało, żeby zaczął dygotać jak w febrze, ale zapanował nad sobą.

- Z powodu braku mebli grozisz mi rozwodem?

Smutno pokręciła głową i niecierpliwym ruchem otarła łzy.

- Pusty dom to metafora. Nie rozumiesz? Chyba masz klapki na oczach. W nas także jest pustka. I tak zostanie, jeśli się przede mną nie otworzysz. Marne szanse, co?

Chciał ją objąć, lecz bezradnie opuścił ręce i zacisnął dłonie w pięści. I cóż z tego, że ją przytuli? Nawet naj-

mocniejszy uścisk nie skłoni jej, żeby z nim została. Bolało go serce, oddychał płytko.

- Czy możemy porozmawiać, kiedy wrócę?

- Szkoda fatygi, Puck. Po co miałbyś wracać? Dlaczego ja mam tu tkwić? Dom jest pusty i zawsze taki będzie, ponieważ tego sobie życzysz - ciągnęła zduszonym głosem, bo gardło miała ściśnięte.

Skrzywił się boleśnie, jakby go uderzyła. Wolałby dostać po twarzy, bo cierpiałyby tylko fizycznie, a jej słowa trafiły w samo serce.

- Nie chcesz zaryzykować - mówiła dalej. Sięgnęła po klucze do auta leżące na blacie z jego plecami. - Wolisz zamknąć się w sobie, żeby nikt cię nie dosięgnął!. - Spojrzała mu w oczy. Była smutna. - Rzeczywiście jesteś bezpieczny, lecz zarazem cholernie samotny. Chcesz do końca życia być sam jak palec?

Rick zapamiętał tylko jedno zdanie: Dlaczego ja mam tu tkwić? Jasne jak słońce. Postanowiła odejść. Od początku wiedział, że ich związek nie przetrwa. To już koniec. Dlaczego tak boli? Skąd tyle cierpienia, które paraliżuje całe ciało? Daremnie próbował chronić samego siebie, przygotowując się na ten cios. Zachowywał dystans. Nie przyznawał się, że mu na niej zależy.

Teraz nie będzie sposobności, żeby jej o tym powiedzieć.

Zabronił sobie nawet w myślach używać słowa „miłość”, bo gdyby miał świadomość, że straci ukochaną... To by go wykończyło.

Eileen odwróciła się i ruszyła ku frontowym drzwiom. Poszedł za nią, słuchając stuku obcasów odbijającego się echem po domu w rytm uderzeń zbolełego serca.

Odezwał się dopiero, gdy minęła drzwi i była w połowie schodów.

- Wiedziałem, że odejdiesz.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Eileen wsiadła do auta i zde gustowana własnym zachowaniem walnęła pięścią w deskę rozdzielczą.

- No i odeszłam. Cholerajasma!

Wbrew swoim intencjom urzeczywistniła właśnie czarny scenariusz Ricka. Tego oczekiwał, to im przepowiadał. Rzecz jasna, działała pod wpływem impulsu i nie potrafiła teraz racjonalnie wyjaśnić swego postępk. Ukryła twarz w dłoniach i zamknęła oczy, łudząc się, że zdoła wymazać wspomnienie ostatnich kilku minut.

- Odeszłam i zostawiłam go samego w ogromnym, pustym domu. Ależ ze mnie kretyńka!

Wbrew ostrzeżeniom babci do tej pory działała pod wpływem impulsu, kierując się głównie emocjami. Teraz przyjdzie jej za to zapłacić. Babcia dobrze mówiła. Nie da się cofnąć słów powiedzianych w gniewie.

Eileen obawiała się, że Rick zapamięta na zawsze, jak wybiegła z domu, zostawiając go w ponurej kuchni. Mniejsza z tym, że miała powody, żeby się na niego de nerwować. Niestety, zareagowała zbyt impulsywnie.

Nie mogła teraz wrócić. Nie powinna. To by nic nie dało nawet gdyby popędziła do Ricka i zasypała go ist-

nym gradem obietnic. Raz mu już przysięgała. W czasie ślubu. Nie uwierzył, więc dlaczego teraz miałyby zareagować inaczej?

Uznała, że posiedzi w aucie jeszcze parę minut. Trzeba poczekać. Może lada chwila Rick zbiegnie po schodach? Powinien walczyć o nią. O nich.

Sekundy przechodziły w minuty. Słyszała tylko własny oddech i szum wiatru napierającego na samochód.

Nie pokazał się. Eileen nie mogła teraz wrócić do domu. Na razie.

- Bardzo pięknie, moja droga. - Gwałtownym ruchem przekręciła kluczyk w stacyjce. - Wyszłaś za Ricka, ponieważ miałaś nadzieję, że dzięki tobie uwierzy w trwałość małżeństwa. Zamierzałaś wpoić mu przekonanie, że nie ma mowy o rozstaniu. - Wrzuciła pierwszy bieg, ruszyła z podjazdu i skręciła w uliczkę. - Gratuluję sukcesu - dodała ironicznie.

Ostatniego dnia podróży służbowej Rick zachowywał się jak człowiek opętany. Nie był w stanie skupić się na pracy. Brakowało mu cierpliwości, żeby dyskutować z opryskliwymi klientami troszczącymi się jedynie o giełdową cenę swoich akcji.

- Co mnie obchodzi hossy i bessy? - mamrotał, leżąc w hotelowym łóżku i przewracając się z boku na bok. - Wszystko marność - wymamrotał, sięgając po słuchawkę telefonu. Wystukał numer nadmorskiego domu. - Liczy się tylko Eileen.

Był tu od czterech dni. Zastanawiał się, co ona teraz robi, gdzie jest, co myśli. Sam zastanawiał się nieustannie, jak z nimi jest, i doszedł do konstruktywnych wniosków. Tamtego poranka przeżył wstrząs. Odchodząc zmusiła go do myślenia. Miała rację. We wszystkim.

Raz po raz przywoływał obraz Eileen biegnącej w stronę auta i słyszał warkot silnika. Nie poszedł za nią. Stał w korytarzu, bezmyślnie patrząc, jak odjeżdża.

Nocami śnił, że było inaczej. Pędził za nią i doganiał, nim otworzył drzwi samochodu. Zamykał ją w objęciach i wyznawał miłość. Prosił, żeby została. Błagał, by spróbowała go pokochać i być z nim. Przekonywał, że rozstanie nie jest dobrym pomysłem. I widział uśmiech na jej twarzy.

We śnie wracali razem do domu. Potem budził się w hotelowym pokoju. Na jawie był sam jak palec.

Wyobrażał sobie przenikliwy sygnał telefonu odbijający się echem w pustych pomieszczeniach. Nie było jej tam. Odeszła i nie wróciła.

Spaprał wszystko. A mogło być cudownie, gdyby nie był tchórzem. Przestraszył się ryzyka, bo w grę wchodziło jego serce.

Odłożył słuchawkę, usiadł na łóżku i popatrzył w lustro ohydnej toaletki.

- I co dalej? Jak się teraz zachowasz, głupku? - powiedział do swego odbicia.

Zakompleksiony kretyn.

Zerwał się na równe nogi, podbiegł do szafy, wyciągnął walizkę i zaczął wrzucać do niej swoje rzeczy. Przy odro-

binie szczęścia kupi bilet na poranny lot. A jeśli będzie naprawdę wielkim szczęściarzem, może Eileen nadal będzie chciała z nim rozmawiać.

Lało jak z cebra.

Samochód Eileen stał na podjeździe.

Serce Ricka kołatało jak szalone, gdy pojął, że los się do niego uśmiecha. Był wprawdzie zdecydowany wytrącić ją w „Krainie Marzeń” albo gdziekolwiek, lecz w domu na pewno łatwiej będzie im się dogadać.

Zaparkował za jej dżipem, wyskoczył z auta i popędził w stronę werandy. Nim dopadł drzwi wejściowych, przemókł do nitki. Padał ze zmęczenia i z trudem chwycił oddech, ale był zdeterminowany i to dodawało mu sił. Wiedział, co czuje. Potrafił o tym rozmawiać. Miał nadzieję, że nie jest za późno na szczere wyznanie. Oby tylko Eileen mu uwierzyła. Kochał ją całym sercem. Być może to ostatnia szansa, żeby jej to udowodnić.

Wsunął klucz do zamka, otworzył drzwi i wszedł do obcego wnętrza.

Z otwartego holu widział salon umeblowany stylowymi sprzętami z tapicerką we wzory na bordowym tle. Wszędzie dywany, kwiaty doniczkowe, pachnące bukiety w wazonach. Na kominku buzował ogień. Ściany ozdobione mnóstwem obrazów...

Wstrzymał oddech i zamrugał, bo łzy zmaciły mu wzrok. Powoli szedł korytarzem, jakby obawiał się, że to fatamorgana, która zniknie z następnym krokiem.



Wizja trwała. Nic się nie zmieniło.

Z kuchni dochodziła smakowita woń sosu do spaghetti. Natychmiast poczuł wilczy głód, lecz najpierw musiał zaspokoić inne pragnienie.

Gdzie jest Eileen?

Znieruchomiał i nadstawił uszu, bo miał nadzieję, że dobiegnie go jej głos albo kroki. Na górze grało radio. Blue Eyes... Szum wiatru zagłuszał melodię.

Przeciął hol, zostawiając mokre ślady na posadzce z terakotowych płytek. Wbiegł na schody. Chodnik tłumił odgłos kroków. Szedł korytarzem, zaglądając do pokoiów na pierwszym piętrze. Wszędzie widział meble, kwiaty, obrazy. Tak jak sobie wymarzył.

Idąc za muzyką, dotarł do pokoiku obok małżeńskiej sypialni i zobaczył dziewczynę, która tak hojnie go obdarowała, choć na to nie zasłużyła. Stała tyłem do niego, poruszając biodrami w rytm muzyki i podśpiewując z wokalistą.

Z zachwytem rozglądał się po niewielkim pokoju dziecięcym. Na błękitnym suficie namalowane były śnieżno-białe chmurki. Jedną ścianę ozdabiała fototapeta przedstawiająca kwitnący ogród, a białe meble kontrastowały z barwnymi zasłonami oraz poduszkami na bujanym fotelu przygotowanym dla mamy i jej maleństwa.

- Wróciłaś.

Eileen wspięła się właśnie na palce, aby zawiesić portret mamy-króliczki z gromadką pociech. Znieruchomiała, słysząc jego głos, i spojrzała przez ramię.

- Ojej, jak miło cię widzieć! - ucieszyła się. - Przychodzisz w samą porę. Trzeba mi wysokiego osobnika, żeby to zawiesić.

Ze ściśniętym gardłem podszedł, wziął od niej obrazek i ostrożnie umieścił go na haczyku wystającym ze ściany.

- No i gotowe. - Popatrzyła na męża. - Ślicznie tutaj, prawda?

- To za mało powiedziane. Moim zdaniem wręcz prześlicznie - mruknął, biorąc ją w ramiona. - Jesteś! Jak to dobrze. Własnym oczom nie wierzę. O Boże! Eileen, nie potrafię bez ciebie żyć. Ja... - Przytulił ją z całej siły, jakby lękał się, że lada chwila zmieni zdanie i ucieknie od niego.

Oddała uścisk, odchyliła głowę do tyłu i spojrzała mu w oczy.

- Zaskoczony?

- O, tak!

- Świetnie! W takim razie zrobiłam już, co do mnie należało.

- Nie odchodź! - zawołał ogarnięty paniką. Nie wiedział, jak to rozumieć.

- Proszę?

- Nie zostawiaj mnie, skarbie. Zostań ze mną na zawsze.

- Nigdzie się nie wybieram - zapewniła łagodnie. Miała łzy w oczach. - Kocham cię, głuptasie.

Roześmiał się z wielkiej radości. Wszystko go teraz cieszyło.

- Ja też cię kocham - odparł, patrząc w zielone oczy.  
- Nie boję się już takich wyznań, choć przedtem umierałem ze strachu przed nimi. Lękałem się, że za bardzo cię kocham.

- Miłości nigdy za wiele - odparła z uśmiechem, a życie Ricka nagle stało się proste i szczęśliwe.

- Teraz wiem, że masz rację - przyznał. - Problem w tym, że u faceta takiego jakja wielka miłość rodzi obawę przed ogromną stratą. Błędne koło, prawda? Niewiele brakowało, żebym całkiem cię do siebie zniechęcił.

- Nie ma mowy, kochanie - zapewniła, ujmując w dłonie jego twarz. - Nigdzie się nie wybieram.

- Wiem - szepnął i dodał śmielej: - Dzwoniłem wczoraj do ciebie. Chciałem porozmawiać, ale nikt nie odbierał, więc pomyślałem...

Położyła mu palec na ustach.

- Fachowcy malowali pokój dziecinny. Mdliło mnie od zapachu farby, więc nocowałam u babci. - Objęła go za szyję, uśmiechnęła się czule i powiedziała cicho: - Wtaj w domu, Rick.

Gdy go pocałowała, zyskał wreszcie niezłomną pewność, że znalazł swoje miejsce na ziemi. Był u siebie. Był z Eileen, swoją tymczasową sekretarką i wieczną miłością.

## EPILOG

### ***Pięć lat później...***

- Tatku, gdzie mamusia?

- Cicho - szepnął Rick do czteroletniego synka Ryana, który wdrapał się na kanapę i usiadł obok niego. - Obudzisz małą.

Ryan wyciągnął pulchną łapkę i pogłaskał senne niemowlę leżące w ojcowskich ramionach.

- Kerry wcale nie śpi.

- Zaśnie, jeśli będziemy cicho. Oczka jej się kleją - tłumaczył Rick, odgarniając zgrzanemu synkowi włosy z czoła.

Malec biegał po podwórku ze szczeniakiem, który całym opadł z sił i wyciągnął się na dywanie. Ryana trudniej było zmęczyć. Na szczęście dwuletnia Katie, jego druga siostra, istny psotnik i zbytnek w porównaniu z resztą rodzeństwa, spała słodko na górze.

Gdyby Rickowi udało się przekonać synka, żeby ściszył głos, być może i sześciomiesięczna Kerry dałaby się ukłusać do snu, choć nie była śpiochem i ciekawska z natury, rzadko przymykała zielone oczęta.

Ryan pochylił się ku ojcu i zapytał scenicznym szeptem słyszalnym na werandzie:

- Kiedy mama wróci?

- Niedługo - zapewnił Rick, z czułością patrząc na synka. Kochał bardzo wszystkie swoje pociechy. - Pojechała zrobić zakupy, pamiętasz?

- Szuka fajnego prezentu dla mnie? - ciągnął Ryan, tuląc się do taty. W zamyśleniu bawił się maleńką rączką siostry.

- Tak sądzę - odparł z uśmiechem Rick. Został z dziećmi, ponieważ nadchodziło Boże Narodzenie, więc Eileen i jej siostra buszowały po sklepach.

- A kiedy wróci? - Ryan podniósł główkę, żeby popatrzeć na ojca.

- Zajakiś czas. - Rick pocałował go w czubek głowy. - Spokojnie, kolego. Na pewno nas nie zostawi, więc przestań się martwić. - Nadstawił uszu, bo dobiegł go znajomy warkot silnika. - Oho, już jest!

- Tak! - pisnął Ryan.

Kerry zaczęła się wiercić.

Rick westchnął, gdy podniosła główkę i obdarzyła go promiennym uśmiechem.

Ryan zeskoczył z kanapy i pogalopował na werandę, a Rick z dzieckiem na ręku deptał mu po piętach. Stał na werandzie i obserwował synka, który wybiegł Eileen na spotkanie.

- Cześć! - zawołała. - Kto mi pomoże wnieść te wszystkie pakunki?

Kiwnął głową i zszedł na podjazd. Podał jej małą i skradł całusa.

- Tęskniłeś za mną? - spytała zalotnie, gładząc rudozłotą czuprynkę.

- Jak zawsze - odparł.

- Ale nikt się tu nie martwił, wiesz? - Mały Ryan musiał wtrącić swoje trzy grosze.

- Naprawdę? - powiedziała z uśmiechem.

- Tak - potwierdził stanowczo Ryan. - Tatuś mówi, że na pewno nas nie zostawisz, więc po co się martwić?

Eileen popatrzyła z czułością na Ricka, który znów ją pocałował. Ten całus był swoistym zadatkiem. Wiele sobie po nim obiecywała.

Rick zerknął na synka, który uczepił się jego nogawki.

- Witaj w domu, skarbie - powiedział cicho.